



Jan Wróbel
Ewa Wróbel



Historia Polski 2.0



POLAK POTRAFI, POLKA TEŻ...

*czyli o tym, ile świat
nam zawdzięcza*

Jan Wróbel
Ewa Wróbel



Historia Polski 2.0



POLAK POTRAFI, POLKA TEŻ...

*czyli o tym, ile świat
nam zawdzięcza*



ILUSTRACJE
JOANNA WÓJCIK

Znak Horyzont

2015

WSTĘP



Pozwólmy sobie na odrobinę pychy, pochwalmy się. Autorzy cyklu *Historia Polski 2.0* postanowili przypomnieć sobie i światu dokonania kilkunastu naszych rodaków. O niektórych świat pamięta, o większości zapomnieli nawet Polacy. No, naprawdę... W tej książeczce znajdziesz kilka nieszablonowych życiorysów wielkich sław (Skłodowska, Kopernik) – rzuciliśmy je na wabia, ale więcej jest CV tych mniej znanych.

Nie jesteśmy w stanie w tej książce przypomnieć ich wszystkich. Wierzymy, że jeśli człowiek (w tym wypadku czytelnik / czytelniczka) otrzyma uderzenie dobrej energii, to już do końca życia będzie wypatrywał, czy aby za jakimś wielkim dokonaniem w przeszłości lub przyszłości nie czai się Mazurek Dąbrowskiego. Albo Mazurka.

STEFAN BANACH



nie do wytrzymania



Janu5
użytkownik

13.07.2012 o 20:22 Janu5 napisał(a):

Znalazłem książkę *Mechanika* Stefana Banacha. Książka jest super, choć dotyczy trudnej matematyki. Ale sporo rzeczy się dowiedziałem, których na studiach nie poruszaliśmy.



Zyta
członek
★★

13.07.2012 o 21:08 Zyta napisał(a):

Niedawno byłem na wycieczce we Lwowie i chodziliśmy po cmentarzu na Łyczakowie. Przy tabliczce z nazwiskiem Banacha zatrzymałem się ja... i nikt więcej, bo nikt nie wiedział, kim był Banach. Szkoda, że jest tak trochę zapomniany w Polsce. Przestrzenie Banacha też grupie nic nie mówiły. Szkoda, niewiedza jest ogromna.



Ighor
użytkownik

14.07.2012 o 11:16 Ighor napisał(a):

To był naprawdę ciekawy człowiek. Takich zdobywają i chwalą się nimi Stany Zjednoczone, Europa Zachodnia, a my? Jego biografia to gotowy scenariusz na świetny film!



Kinga
użytkownik
★

14.07.2012 o 13:48 Kinga napisał(a):

Już piszę 😊

Cisza na planie! Akcja!

Genialny matematyk... Rozbita rodzina... Ciężkie dzieciństwo... Pęd do wiedzy... Lwów... Kawiarnia Szkocka ze słynnym „matematycznym” stolikiem, na którym powstawały rozwiązania najważniejszych zagadnień królowej nauk... Okupacja... Geniusz matematyczny karmicielem wszy... Wyzwolenie... Śmierć akurat po otrzymaniu propozycji objęcia katedry na UJ... Zapomnienie... Mała tabliczka... Oscar murowany?



Autorzy 2.0
administrator
☆☆☆

14.07.2012 o 13:51 Autorzy 2.0 napisał(a):

Scenariusz w dechę, Oscar murowany.



Karol
członek
★★

14.07.2012 o 23:15 Karol napisał(a):

Masakra, kto wie, że przestrzeń Banacha stała się m.in. podstawą oprogramowania pierwszych komputerów HP? Czemu uczymy się o powstaniach, które upadały, a nawet słówkiem nie wspominamy o geniuszach? Mamy ich tak wielu? Jesteśmy dziwni. 😞

Jak głosi jedna z bardzo wielu barwnych historyjek o Stefanie Banachu (niektóre są nawet prawdziwe), mógł on napisać na czeku od Amerykanów dowolną liczbę zer obok jedynek i wyjechać do Stanów. Czekał tam na niego z niecierpliwością prof. Norbert Wiener, twórca cybernetyki, a czek do podpisu podsuwał współtwórca pierwszego na świecie komputera elektronicznego.

Dzieciństwo małego Stefana, który nie znał matki i tylko czasami spotykał się z ojcem, do łatwych nie należało. Ojciec oddał go na wychowanie praczce i jej córce w Krakowie – to ona posłała Stefana do gimnazjum. Przybrana rodzina przyjaźniła się z Francuzem – fotografem, literatem i tłumaczem – i to on zauważył niezwykle zdolności lingwistyczne oraz matematyczne chłopca. Panie Francuz, dziękujemy.

Banach dorabiał do swego utrzymania korepetycjami... i pracował jako statysta w operze. Po maturze poszedł na Wydział Inżynierii Lądowej na Politechnice Lwowskiej. Matematykę studiował jako samouk.



SPACERY KRAKOWSKIMI PLANTAMI W TOWARZYSTWIE MŁODEGO STEFANA MUSIAŁY BYĆ NIE LADA GRATKA

Takie rzeczy się zdarzają, przynajmniej w komiksach. Dr Hugo Steinhaus, utytułowany w krakowskim środowisku matematyczny VIP, spotkał na spacerze głośno gadającego Banacha. Gadał o całkach (morał: zawsze uważajcie, o czym rozmawiacie, bo jak o niczym, to może Wam przejść koło nosa życiowa szansa). Zaciekawiony Steinhaus wszczął pogawędkę... Potem mówił, że jego największym odkryciem matematycznym był Banach.

QUIZ

1. Czy Stefan Banach miał ukończone studia matematyczne?

▶ TAK ▶ NIE*

2. Czy można zostać zatrudnionym na uczelni bez dyplomu?

▶ TAK ▶ NIE*

Kiedy dzisiaj, raczej słusznie, narzekamy, że „bez znajomości ani rusz”, to pomyślmy przez chwilę łagodnie o prof. Steinhausie, który właśnie po znajomości załatwił Banachowi posadę asystenta na Wydziale Matematyki na Politechnice Lwowskiej. Nie kuzynowi lub własnemu dziecku (jakież to, nawiasem mówiąc, bezwstydne), lecz obcemu i geniuszowi.

Banach nigdy nie zrobił magisterium, ale przeskoczył ten schodek, doktoryzując się na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Nawet tego faktu nie zauważył.



Okazało się, że „matematycy z Warszawy” stanowili po prostu komisję przyznającą tytuły doktorskie. Banach nigdy jakoś nie znalazł czasu, aby napisać doktorat, ale ożywiony pytaniami „kolegów z Warszawy” pisał i mówił, mówił i pisał. Podstęp kolegów zadziałał. Banach został doktorem, a potem profesorem...

Opublikowany po francusku doktorat Banacha i późniejsza *Teoria operacji liniowych* przetłumaczona na początku lat 30. na wszystkie najważniejsze języki przyniosły matematykowi ze Lwowa światową sławę. Nagrody i odznaczenia nie zmieniły w znaczny sposób trybu życia Banacha, nadal opiekował się studentami, wymyślał, wykladał, gubił kartki, pił koniak, polemizował z kolegami – i pozostawał wielki. O kontakt z Banachem zabiegali wszyscy na poważnie zajmujący się matematyką.

Sławny matematyk nie lubił archiwizować, pisał jak romantyczny poeta – w chwilach natchnienia (czyli bardzo często). Wiele z rozwiązanych zniecka problemów matematycznych, spisywanych na przypadkowych kartkach, serwetkach, stolikach, ulegało porwaniu lub starciu!

Banach nie był jedyną gwiazdą lwowskiej szkoły matematycznej. To wybitne środowisko zasilali Steinhaus, Ulam (wyemigrował do USA w latach 30., będzie pracował nad bombą wodorową podczas II wojny światowej), Mazur, Orlicz...



W lwowskiej kawiarni Szkockiej nasi wielcy matematycy siedzieli przy kawie i koniaku,

rozwiązując problemy matematyczne. Znaczna część rozwiązań padła łupem lwowskiej sprzątaczkii i jej ścierki. Na szczęście żona Banacha zakupiła gruby zeszyt z marmurkową okładką (pewnie dla zmylenia obsługi 😊, blaty w kawiarni były marmurowe). Zostawiała zeszyt w kawiarni u portiera i od tamtej pory uczeni zapisywali matematyczne pomysły w tzw. Księdze Szkockiej. W latach 1935–1941 zapisano tam 193 pomysły, w tym zabawowe łamigłówki. Autorzy problemów wyznaczali nieraz nagrody za rozwiązanie. W zależności od trudności nagrodą mogła być filiżanka kawy, cygaro lub np. żywa gęś. „Burza mózgów” potrafiła trwać wiele godzin (raz, podobno, trwała 17!).

Księga Szkocka została przetłumaczona na język angielski przez Stanisława Ulama i stała się kopalnią inspiracji wielu badań matematycznych!



Możemy z dużym prawdopodobieństwem przypuścić, że na meczu, który dał mistrzostwo Polski Pogoni Lwów (nie pamiętacie? 1922 rok), obecny był Banach – gorliwy kibic Pogoni. Z zasady nigdy nie zachowywał się jak nobliwy uczonek, a oszczędność w wyrażaniu emocji, szczególnie wesołości, była mu obca.

Ale było fajnie... Zabawa skończyła się wraz z początkiem II wojny światowej. Okupacja radziecka (1939–1941) i sowietyzacja Lwowa były ciężką próbą dla Polaków. Wielu

współpracowało z okupantem, dziesiątki tysięcy innych wywieziono do obozów pracy na wschód ZSRR, część aresztowano i zabito. Stefan Banach objął stanowisko dziekana Wydziału Matematyczno-Fizycznego, został członkiem sowieckiej akademii kijowskiej, jeździł na wykłady do ZSRR. W swoim mniemaniu zajmował się cały czas tylko nauką, od polityki starał się trzymać z daleka. Jednak nie wszyscy dawni przyjaciele uznali ugodową postawę Banacha za słuszną.

Latem 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i do Lwowa wkroczyli nowi okrutni okupanci, Niemcy. Banach stracił pracę. Aby mieć za co żyć, żywił własną krwią wszy w Instytucie Bakteriologicznym Rudolfa Weigla. (Weigl odkrył szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu, ale żeby ją uzyskać, potrzeba było dobrze odkarmionych wszy).



Wielu profesorów dawnego uniwersytetu lwowskiego siedziało obok Banacha jako karmiciele. Jeżeli wierzyć świadkom, humaniści siedzieli osobno, matematycy osobno, co stanowi żywy dowód na istnienie poważnych podziałów między naukowcami i nauczycielami różnych dyscyplin.

Banach często powtarzał, że matematyka ma ogromną siłę duchową i że podczas najgorszych chwil okupacji po prostu pracował nad różnymi twierdzeniami matematycznymi.

Umarł w 1945 roku. A wydawało się, że los właśnie się do niego uśmiechnął: wojna się skończyła, geniusz przygotowywał się do przenosin do Krakowa, na uniwersytet.

Lwów pozostał w granicach ZSRR. W komunistycznej Polsce unikano oficjalnego przypominania o wkładzie Lwowa w kulturę i naukę polską. I tak pamięć o geniuszu Banacha i zeszycie w kratkę została przygaszona. Oby nie na zawsze.

W 2008 roku ustanowiona została nagroda imienia Stefana Banacha. Ma promować i wspierać finansowo młodych badaczy nauk matematycznych. A Księga Szkocka? Hm, do dzisiaj wiele z problemów w niej zawartych nie zostało rozwiązanych... Masz jeszcze szansę.

ENIGMA

czyli kto rozwiązał zagadkę?

Do liczb i wzorów matematycznych to mamy chyba narodową smykałkę, Banach nie był wyjątkiem.



... JAK MÓWIEM, WEŹMY SŁOWO KRYPTOLOGIA, PROSTY KLUCZ TO NP. KLUCZ ZŁOŻONY Z CIĄGU LICZB: 3, 7, 1, 11, 2. PODSTAWIAMY POD K LITERĘ STOJĄCĄ 3 MIEJSCA DALEJ W ALFABECIE, DRUGA, CZYLI R - 7 MIEJSC - ITD. WYJDZIE NAM NYZAVRSPRKD. TO OCZYWIŚCIE ZA PROSTE...

OTWIERAJĄ FILIĘ BIURA SZYFRÓW!

HENIEK, JA ZA CIĘŻKIM PÓJDĘ W CIEMNO!



... WOBEC LIKWIDACJI FILII BIURA SZYFRÓW PANOWIE MARIAN REJEWSKI, JERZY RÓŻYCKI, HENRYK ZYGALSKI...

... ZOSTAJĄ ZATRUDNIENI W WARSZAWSKIM BIURZE SZYFRÓW SZTABU GŁÓWNEGO WOJSKA POLSKIEGO. PAKOWAĆ SIĘ I DO WARSZAWY! BĘDZIECIE MIELI WIĘKSZE MOŻLIWOŚCI.



JUŻ W GRUDNIU 1932 ROKU UDAŁO SIĘ REJEWSKIEMU ZŁAMAĆ SZYFR ENIGMY, NIEMIECKIEJ MASZYNY SZYFRUJĄCEJ.





Tak zwane klucze do maszyny szyfrującej dostaliśmy od Francuzów, a ci od... niemieckiego agenta, który zaproponował francuskiemu wywiadowi sprzedaż instrukcji i kluczy szyfrów. Francuzi kupili, ale samej Enigmy nie mieli. W końcu przekazali klucz szyfrów Polakom. A Polacy zrekonstruowali Enigmę dzięki zdjęciom. Trzeba było „tylko” zrozumieć zasadę, według której działały systemy szyfrujące.



Niemcy czuli się bezpiecznie, szyfrując wiadomości, odkąd zastosowali kilka tzw. wirników. Wirnik to, jak zapewne wszyscy wiemy, serce maszyny szyfrującej Enigma.

Niewielkie koło, wykonane z gumy lub bakelitu, z odpowiednim wcięciem, zaciekle mnożyło ilość kombinacji. Jednak Różycki zastosował tzw. metodę zegarową i wygrał polsko-niemiecki bój na umyśle.

W końcu Wehrmacht i Luftwaffe zmieniły kody. Jednak Rejewski był już nie do zatrzymania. Stworzył tzw. bombę Rejewskiego, maszynę składającą się z sześciu sprzężonych ze sobą kopii Enigmy napędzanych silnikiem elektrycznym. Niestety bardzo szybko okazało się, że 6 to za mało. Do sprawnego odczytywania niemieckich tajnych depech potrzeba było kolejnych 54 kopii Enigmy! Koszty takiej megamaszyny były ogromne, zwróciliśmy się o pomoc do sojuszników, bo – jak może pamiętamy z historii – niedobór kasy stanowi odwieczny polski problem. Czas naglił, mamy już lato roku 1939!

NO, NIE WIERZĘ, BRYTYJCZYCY PRZYJECHALI, ZOBACZYLI I... ODRZUCILI? PRZECIEŻ TO OGROMNA SZANSA ODCZYTYWANIA WOJSKOWYCH INFORMACJI, CZEMU SĄ OBOJĘTNI?!

A FRANCUZI SIĘ OBRAZILI, ŻE NIC NIE POKAZYWAŁÍMY WCZEŚNIEJ, JAKBY NIE PAMIĘTALI, ŻE WSZYSTKO MIELI W RĘKU, ECH...



Po wybuchu II wojny światowej trzej kryptolodzy ewakuowali się do Francji i tam kontynuowali prace. Ale w roku 1940, kiedy wojska niemieckie zbliżyły się do Paryża, ruszyli do Algierii i tam pod kierunkiem majora Ciężkiego pracowali dalej nad deszyfracją. Większość Francji znalazła się pod okupacją niemiecką, ale część (Vichy) była rządzona tylko przez Francuzów. Oficer francuskiego wywiadu współpracujący z Anglią założył tajny ośrodek Cadix, w którym pracowali Polacy. Jednak w listopadzie 1942 roku Niemcy zajęli Vichy i Polacy postanowili wziąć nogi za pas – do Hiszpanii. Niektórzy, w tym major Ciężki, zostali złapani i aresztowani. Rejewskiemu i Zygalskiemu udało się przedostać, ale... zostali osadzeni w ośrodku internowania. Wiadomość o ich uwięzieniu dotarła do wywiadu

brytyjskiego. Jego agenci wdali się z Hiszpanią w długie targi i... pod koniec 1943 roku nasi kryptolodzy pracowali już w Wielkiej Brytanii. Na szczęście Ciężki i inni wyłapani przez Niemców Polacy z ośrodka Cadix nigdy nie zdradzili, jak bardzo alianci są zaawansowani w umiejętności odszyfrowywania niemieckich komunikatów.

Po wojnie, już w latach 70., zaczęto sporo pisać o „tajemnicy Enigmy”. Okazało się, że wkład polskich matematyków w dzieło odszyfrowania niemieckiej maszyny szyfrującej został właściwie zapomniany. Nawet niedawno pokazywany amerykańsko-brytyjski film fabularny pomija „polski wątek” (w geście protestu polski ambasador w Londynie odmówił przyścia na uroczystą premierę). Dopiero na początku 2014 roku w Pyrach pod Warszawą spotkali się Brytyjczycy, Francuzi i Polacy, tak jak 75 lat wcześniej. Rejewski, Różycki i Zygalski zostali bezwarunkowo uznani za tych, którzy złamali kody Enigmy! No...

RUDOLF MODRZEJEWSKI


nuty i mosty

„Otwieramy wystawę poświęconą wybitnemu Polakowi Rudolfowi Modrzejewskiemu, który swoją pracą budował wielkość Ameryki przełomu XIX i XX wieku”. Tak mówiła kurator wystawy w Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce Winiarach w 2006 roku. A w 2008 władze Bydgoszczy zdecydowały o nazwaniu mostu kolejowo-drogowego na Wiśle imieniem Rudolfa Modrzejewskiego. Pomysł wyszedł od Rady Inżynierów Polskich w Ameryce Północnej.

Udało nam się wreszcie uhonorować człowieka genialnego – szkoda, że genialnego w Ameryce.

Wszyscy podkreślają, że Rudolf Modrzejewski pielęgnował swoją polskość, bo jakżeby inaczej, ale uprościł jednak nazwisko na Ralph Modjeski, by ułatwić sobie i Amerykanom życie. Urodził się w Bochni, ale wychował się już w Ameryce. Ralph zawsze pamiętał zalecenie mamy: „Chciałabym bardzo mocno, żebyś podobnie jak Mamuś Twoja, w skromnym naszym zakresie wszędzie, gdzie pracujesz i działasz na świecie, uczył obcokrajowców wymawiania polskiego imienia z szacunkiem”. Cukierkowe, nie? Ale prawdziwe! Wśród Polaków Modjeski mówił i pisał po polsku, przykładowo ożenił się z Polką, ślub odbył się w polskim kościele św. Stanisława, w robotniczej dzielnicy Nowego Jorku.



Pasją Modrzejewskiego była muzyka. Jednym z jego wybitnych nauczycieli był Ignacy Jan Paderewski, największy polski pianista tego okresu i sława światowa. Mały Modrzejewski grał, grał, ćwiczył, ćwiczył... aż okazało się, że muzyka jest bardziej pasją nauczyciela niż ucznia. Ucznia zafascynowały mostowe konstrukcje. I „przepadł”. Na zawsze.

Studia w sławnej Państwowej Szkole Dróg i Mostów w Paryżu dały mu tytuł inżyniera i zapewne możliwość pracy u „ojca amerykańskiego budownictwa mostów” – George’a S. Morrisona.

? Jak zostać sławnym konstruktorem mostów? Poradnik.

1. Być bardzo zdolnym i mnóstwo się uczyć.
2. Grać dużo na fortepianie.
3. Nauczyć się bardzo dobrze języków obcych (i dobrze polskiego).
4. Wynieść z domu przekonanie, że poradzimy sobie z trudnościami.
5. Pracować w USA.

6. Być bardzo zdolnym (ups, chyba już było).

USA, kraj rozwijający się w ogromnym tempie, ceniący zdolnych frików, był 100 lat temu znakomitym miejscem do realizacji nowatorskich pomysłów. W najgorszym razie zbankrutujesz, wielkie mi halo. Modrzejewski krok po kroku stawał się znany, aż w końcu założył własną firmę Modjeski and Masters. Istnieje do dzisiaj!



Pora na pochwały:

- Na szczególną uwagę zasługuje rozwiązanie mostu łukowego na linii kolejowej wzniesionego wysoko nad skalistymi urwiskami brzegów rzeki Crooked. Klask, klask, klask.
- W 1907 roku Modrzejewski został poproszony o udział w komisji wyjaśniającej katastrofę mostu na Rzece Św. Wawrzyńca w prowincji Quebec (zginęło kilkudziesięciu budowniczych!). Modrzejewski znalazł błąd, dokonano zatem nowych obliczeń

i rozpoczęto odbudowę mostu. W 1918 roku oddano go ostatecznie do użytku, był najdłuższym mostem wspornikowym na świecie.



- I kolejny projekt, w 150 rocznicę niepodległości Stanów Zjednoczonych! 4 lipca 1926 roku oddał do użytku najdłuższy most wiszący świata (na rzece Delaware).
- I wreszcie: „Cud techniki, dzieło sztuki”, jak prasa pisała o kolejnym moście – na rzece Missisipi w Nowym Orleanie, z którym nie mogli sobie poradzić amerykańscy inżynierowie. A Modrzejewski (właściwie też amerykański konstruktor, ale przecież jakże przy tym polski) potrafił. Nic dziwnego, że to właśnie on reprezentował prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki na Światowym Kongresie Inżynieryjnym w Japonii w 1929 roku.

W tym samym roku Modrzejewski odwiedził Powszechną Krajową Wystawę Przemysłu i Nauki w Poznaniu. Nie dziwi, że od razu otrzymał nagrodę honorową rządu Rzeczypospolitej. Jednak wrócił do Ameryki, Polska nie miała dla niego projektów w „amerykańskiej” skali.



@Dafne Marzec 9, 2013, 12:09

Oczywiście, że Ameryka nie jest wolna od megalomanii, ale jeśli chodzi o mosty, to ich wielkość wymuszały warunki: aby połączyć dwa odległe brzegi i oprzeć się żywiołom, mosty musiały być potężne. Poza tym decyzja o ich budowie była zwykle doskonałym posunięciem ekonomicznym (np. Benjamin Franklin Bridge, mimo kolosalnych nakładów finansowych, dość szybko te koszty zwrócił i teraz bardzo dobrze zarabia nie tylko na sobie).



@Onibe Marzec 9, 2013, 12:39

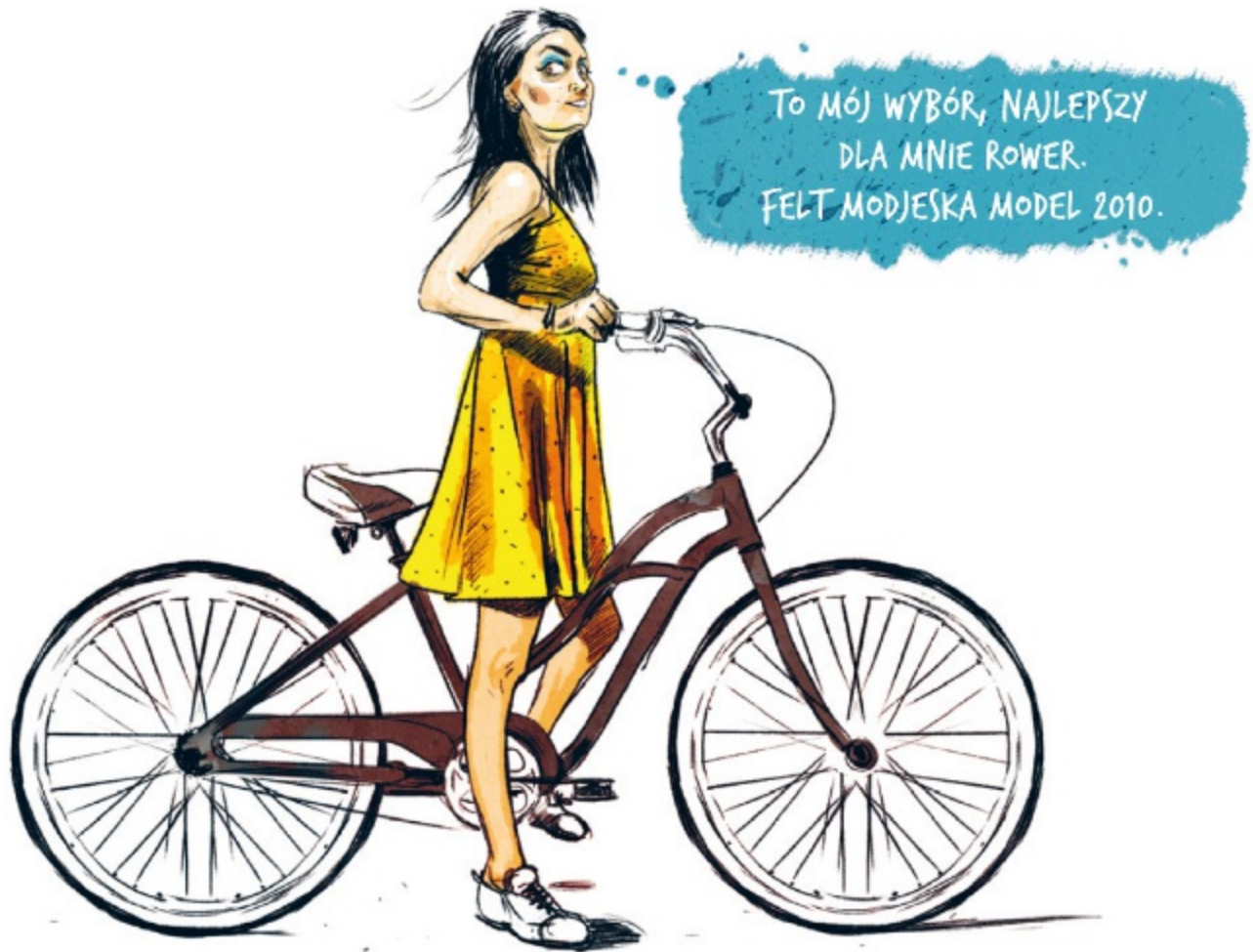
Amerykanie budują z rozmachem, bo jeśli wiedzą, że coś będzie służyło intensywnie, to od razu zakładają, że powinno służyć dobrze. Tak to widzę ;-)

Modrzejewski wybudował ok. 40 mostów, przez największe rzeki Ameryki: Missisipi, Missouri, Delaware, Św. Wawrzyńca, przez Zatokę San Francisco (Trans-Bay Bridge). Może nas to dziwić, ale wśród miłośników mostów (a jest takich sympatycznych obłąkańców niemało) ceni się konstrukcje Modrzejewskiego nie tylko za nowatorstwo i trwałość, ale też za to, że są... po prostu piękne.

HELENA MODRZEJEWSKA

—
szalona?

Odwieczne pytanie: lepiej być piękną czy bogatą? Helena Modrzejewska (Jadwiga Helena Misel) pogodziła jedno z drugim, ale za cenę ciężkiej pracy (trochę rozczarowujące, nie?). W wolnych chwilach urodziła i wychowała doskonale nam już znanego Ralpha. A amerykańska wersja jej pseudonimu scenicznego zdobi współcześnie elegancki, superdizajnerski rower!



Modjeska to Helena Modrzejewska. Kiedy przebywała w Stanach Zjednoczonych pod

koniec XIX wieku, okazało się, że jej nazwisko jest „nie do wymówienia” dla Amerykanina (pod tym względem wiele się w Ameryce nie zmieniło).

Zanim Helena stała się sławną aktorką w USA, występowała z różnymi grupami aktorskimi w miasteczkach i miastach Galicji (zabór austriacki), wtedy też przyjęła pseudonim Modrzejewska. Grywała na scenach w Bochni, Przemyślu, Nowym Sączu. Hm... Oczywiście, to nic wstydliwego grać w niedużych miejscowościach, ale prawdę mówiąc, ambicje coraz lepszej aktorki sięgały wyżej.



Dianka
użytkownik

12.05.2013 o 16:17 Dianka napisał(a):

Hej, czy ktoś z was wie coś o Modrzejewskiej? To chyba aktorka była?



Zak20
użytkownik

12.05.2013 o 16:20 Zak20 napisał(a):

No pewnie, grała w Ameryce 😊



Julia
użytkownik

12.05.2013 o 16:21 Julia napisał(a):

Ja wiem, Helena Modrzejewska była największą artystką. Ja też chcę zdawać do szkoły teatralnej 😊😊. Podbiła Amerykę, grała po angielsku, ale chyba najbardziej to Kraków ją uwielbiał. Dużo grała Szekspira. Wiem, że przyjaźniła się chyba z Wyspiańskim.



Zgruzliwa
administrator

12.05.2013 o 16:24 Zgruzliwa napisał(a):

Na pewno nie na odwrót?



Julia
użytkownik

12.05.2013 o 16:40 Julia napisał(a):

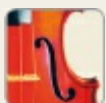
Nasza polonistka opowiadała, że jak grała Barbarę Radziwiłłównę, to publiczność przy scenie śmierci Barbary szlochała. Ale aktorka, która grała królową Bonę, została wygwizdana 😞 – za to, że otruła Barbarę!



Ziuko33
członek

12.05.2013 o 17:15 Ziuko33 napisał(a):

Tak, to była sztuka Felińskiego, który z Barbary zrobił niewiniątko 😞. Modrzejewska ją grała jako szlachetną i patriotkę, chyba trochę ubarwiła.



Ada
członek

12.05.2013 o 17:16 Ada napisał(a):

A wiecie, że ona maniacko ćwiczyła głos, różnie intonując książkę telefoniczną?? 😊
Hej, to was czeka, jeśli nie chcecie grać tylko w reklamach 😊😊😊.



Modrzejewska szła jak burza. Bochnia, Kraków, Warszawa. Sława ją wyprzedzała, spektakle kończyły się sukcesem... Jednak przygnębiały ją oczekiwania publiczności warszawskiej. Nie, nie żeby jej gra się nie podobała, chodziło o „zaszufladkowanie” pięknej Heleny. Pamiętajcie, dziewczyny, nadmiar urody przeszkadza, jeśli przykrywa ona talent! Modrzejewska wolała grać „serio”, publiczność czekała na przedstawienia lekkie, komediowe. Chociaż może się to komuś wydawać niewiarygodne, rola w rozmaitych „koglach-mogłach” nie stanowi spełnienia aktorskich marzeń...

To w Warszawie narodził się pomysł podróży do Stanów Zjednoczonych. Modrzejewska kierowała się powiedzonkiem: „szalony, kto nie chce wyżej, jeżeli może”!

Modrzejewskiej – oprócz męża i syna Rafała (który będzie już niedługo Ralphem) – towarzyszyła grupa przyjaciół, w tym pisarz Henryk Sienkiewicz, który ją uwielbiał. (Helena Kurcewiczówną, bohaterkę *Ogniem i mieczem* wzorował na Modrzejewskiej). W grupie wymyślili coś naprawdę szalonego. I strasznie głupiego! Jasne, nie należy tak mówić

o ludziach, ale... No, popatrzcie sami:



Naprawdę, założyli wielką wspólnotową farmę w Kalifornii! Miała zapewnić dostatek, wolne wieczory (potrzebne na wspólne deklamacje wierszy i dyskusje o sztuce), poczucie sensu życia. Zapewniła masę problemów. Wyobraźcie sobie, że polscy artyści okazali się nienajlepszymi rolnikami w Ameryce, a farma upadła. Część z niedoszłych farmerów wróciła do Warszawy. Modrzejewska nie, bo wpadła na pomysł jeszcze bardziej szalony. Aktorskie *tournée* po Stanach!

Musiła „tylko” nauczyć się angielskiego. Nie takiego angielskiego, którym można się dogadać w wielu życiowych sprawach („Dzień dobry, może wie pan, gdzie w pobliżu znajduje się jakiś przystanek tramwajowy?”, „Spadaj, lalka!”). Chodziło o angielski, którym amerykański aktor gra np. Szekspira – i nie jest w eksperymentalnym teatrze, który chlubi się tym, że aktorzy mówią niewyraźnie i niepoprawnie, bo takich teatrów jeszcze w XIX wieku nie wymyślono.

I wiecie, co? Nauczyła się! Jej kreacja roli w *Damie kameliowej* doprowadziła amerykańskie damy do spazmów, a dżentelmenów do kupowania bukietów. Po premierze wysłała do męża telegram: „Zwycięstwo! Modjeska”.

Była uwielbiana, bez przesady można powiedzieć, że stała się gwiazdą scen teatralnych. Henryk Sienkiewicz pisał z Ameryki do gazet w Warszawie i Krakowie: „Teatr wył, ryczał, klaskał, tupał”, „wywoływano przeciw zwyczajowi artystkę jedenaście razy”, „było to po prostu wzięcie szturmem Ameryki”.

Modrzejewska przyjęła obywatelstwo amerykańskie, ale często odwiedzała Europę, bywała w Krakowie. Miała w planach występy w Warszawie, a nawet plan zagrania w Petersburgu, czyli już w imperium rosyjskim. Plany te upadły, kiedy Modrzejewska na początku lat 90. XIX wieku przyjechała do Warszawy – komendant policji nakazał jej opuszczenie miasta. Okazało się, że dekret cara zakazywał jej wjazdu na teren Rosji!

Dlaczego taka jawna wrogość dotknęła sławną aktorkę? Otóż na kongresie kobiet w Chicago Modrzejewska wygłosiła płomiennie przemówienie o fatalnym położeniu Polek w zaborach rosyjskim i pruskim.



Modrzejewska nieraz podkreślała swoją narodowość, a pociąg, który kupiła (!), by poruszać się po tym ogromnym kraju podczas *tournée*, nazwała Poland. Czyli, *sniff, sniff*, nazwą kraju, który nie istniał na mapie, ale istniał w jej sercu.

Kiedy już stała się bardzo zamożną kobietą, chętnie okazywała hojność. Wsparała dużą kwotą budowę nowego teatru w Krakowie, łożyła na szkolnictwo, ufundowała szkołę koronczarstwa w Zakopanem. Sama zresztą chętnie nosiła koronkowe kołnierze, przyozdabiała koronkami suknie i rozślawiała je w świecie.

A w Stanisławowie, już sławna i bogata, wystąpiła charytatywnie na rzecz nowo wybudowanego teatru...



WIEM, ŻE MIMO OFIARNOŚCI WASZEGO MIASTA I POWIATU TEATR WALCZY O KAŻDY DZIEŃ ISTNIENIA. A WALCZY NIE TYLKO Z TRUDNOŚCIAMI NATURY FINANSOWEJ, ALE TAKŻE Z APATIA PUBLICZNOŚCI. DARUJCIEM MI, ŻE ŚMIEM WAM TO POWIEDZIEĆ, WAM, COŚCIE TAK LICZNIE PRZYBYLI MNIE OGLĄDAĆ, A JA, ZAMIAST DZIĘKOWAĆ, PROSZĘ WAS: WSPIERAJCIE WASZ TEATR, TO SZKOŁA JĘZYKA I DUCHA NARODOWEGO.

O Boże, jakie to aktualne...



MAKSYMILIAN FAKTOROWICZ

człowiek z tuszu

Nie tylko teatr, ale i kino to „szkoła ducha”. No, tak, ale duch musi być umalowany!



Zaczarowana

przed chwilą

Co uważacie o kosmetykach Max Factor? Nie są bardzo tanie. Co myślicie, warte są swej ceny?

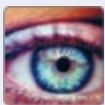
Lubię to • Skomentuj • Udostępnij

Ines Izabela, Voxmon i 3 inne osoby lubią to



Ines Izabela Dla mnie tusz False Lash jest bezkonkurencyjny! Próbowałam tuszów różnych firm, bazowałam na tuszach ze średniej półki, ale zawsze coś mi nie pasowało. No wiesz, sklejanie, za małe pogrubienie, brak wydłużenia. Aż tu nagle odkrycie!

Lubię to • Odpowiedz 2



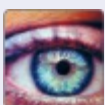
Voxmon Ja polecam Masterpiece Max. Używam, odkąd pojawił się na rynku, oczywiście kupując od czasu do czasu jakiś inny dla sprawdzenia.

Lubię to • Odpowiedz



Autor 2.0 Oczywiście.

Lubię to • Odpowiedz 2



Voxmon Każdy inny w porównaniu z masterpicem wypadł blado (nawet Helena Rubinstein czy Lancome Hypnose). Osobiście jestem zachwycona, bo tusz ładnie podkręca, pogrubia, wydłuża, nie skleja, czyli robi wszystko, co idealny tusz powinien.

Lubię to • Odpowiedz

Nie zawsze łatwo jest powiedzieć, kto Polakiem jest, a kto nie. Na przykład Maksymilian Faktorowicz... Było z nim tak:

Urodził się w żydowskiej rodzinie w Zduńskiej Woli, polskim mieście znajdującym się przecież w imperium rosyjskim (tak to jest, kiedy ktoś się rodzi w drugiej połowie XIX wieku, czyli w czasach, kiedy Polski nie było na mapie Europy!). Miał z sąsiadami-Polakami liczne kontakty i gdyby w tym czasie istniało państwo polskie, zapewne określaby się jako „Żyd, obywatel polski”. Jego losy związały go jednak bardziej z Rosją, a następnie – Ameryką.

Mając 14 lat i nic do stracenia (pochodził z bardzo biednej rodziny), najął się jako pomocnik w aptece, u perukarza i u dentysty. Aptekarze wyrabiali wówczas lekarstwa, perukarze – peruki, a dentyści leczyli i straszli. Najciekawiej było w aptece. Maksymilian trafił na czas szczególnie w dziejach – ludzie, dzięki rewolucji przemysłowej, robili się coraz bardziej zamożni, a wyroby stawały się tańsze. Masa nowych klientów zaczęła szukać perfum, kosmetyków, a czasem również lekarstw. Dzisiaj akurat każdy wie, że życie bez kosmetyków to właściwie nie życie.



Maksymilian sam znakomicie obywatel się bez kosmetyków, ale zaczęło mu świtać w głowie, że idą nowe czasy – z milionami twarzy do pudrowania i rzęs do podkręcania. Z radością uczestniczył w eksperymentach z mieszankami kremów, perfum i kształtów peruk dokonywanych przez aptekarza, u którego pracował.

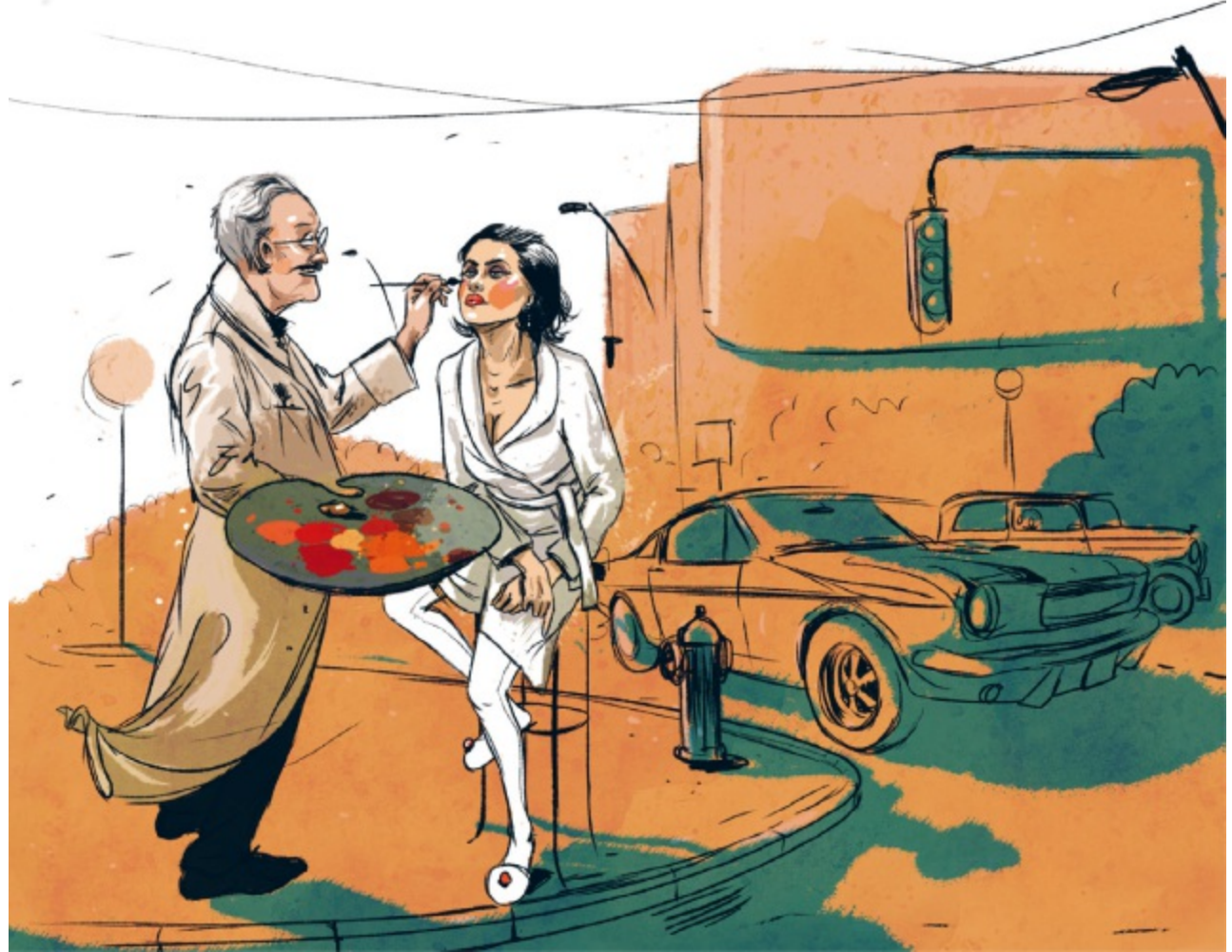


Młody Faktorowicz okazał się tak znakomity w eksperymentowaniu, że już jako 20-latek otworzył własny sklep drogeryjno-perukarski w Moskwie – stolicy imperium rosyjskiego. Szybko zyskał uznanie i wytworną klientelę. Drzwi do swych pałaców lub kamienic otworzyła przed nim elita rosyjska, a nawet dwór Mikołaja II – cara Rosji. W 1904 roku wybrał się statkiem (a właściwie uciekł, co jego biografów nieco dziwi – przecież szło tak dobrze! Przed kim uciekał?) do Stanów Zjednoczonych Ameryki. No i tam pozostał. Po drodze, na granicy amerykański celnik uprościł nazwisko bohatera. Tak oto narodził się Max Factor!

Pierwsze wrażenie z Nowego Jorku, ziemi, o której miliony biednych imigrantów Europejczyków marzyło? „Przerażające miasto, gdzie chmary osób pędziły tam i z powrotem, trajkocząc coś w nieznanym mi języku”.

Chyba powinien wrócić do cara, błagając, by ten pozwolił mu znowu robić peruki, a może nawet do Zduńskiej Woli, by sprzedawać Polakom tabletki na wzdęcia po bigosie, ale zamiast tego wyruszył do Saint Louis.

Często uważa się, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach. Przesada. Amerykańska rodzina Maksy..., ups, Maxa pomogła mu. Dzięki niej otworzył salon fryzjerski dla mężczyzn. Wkrótce zaczął współpracować jako uliczny charakteryzator z aktorami filmowymi w Hollywood. Ooo..., pomyślicie. Cóż, wtedy Hollywood było... no, właściwie było jeszcze niczym. Przemysł filmowy dopiero się rodził. Aktorzy dokonywali charakteryzacji na własny koszt u przygodnych fachowców i „fachowców”.



Kino i Factor wzrastali razem. Imigrant-eksperymentator wreszcie odnalazł rynek zbytu na kosmetyki i peruki, pudry do twarzy, róże, kremy oczyszczające. Max Factor dał aktorom to, co do dzisiaj jest istotne – mocny (konieczny z powodu silnego oświetlenia, wydobywającego każdą zmarszczkę) makijaż „bez efektu maski”. Aktorzy zyskali możliwość wyrażania emocji twarzą. Prawdziwym hitem wymyślonym przez Faktora był podkład w płynie, łatwo nakładany i łatwo zmywany, w 12 odcieniach! O jakości podkładu przekonał się, jako jeden z pierwszych, Charlie Chaplin, a potem Buster Keaton – największe gwiazdy kina niemego.



A słynny amant Rudolf Valentino, jaką szansę miałyby na swoje gwiazdorstwo, gdyby nie Factor? Żadną. Brązowa opalenizna, zdobywana przez gwiazdy współczesnego kina na słonecznych wyspach, nie była w tamtych czasach w cenie. Valentino był Włochem o pięknej oliwkowej cerze, która stała się prawdziwą zimą aktora! Ale zjawia się genialny Max Factor i rozwiązuje problem: dla Rudolfa tworzy specjalny podkład w odcieniu ciemnej żółci. I jako pierwszy, dla wygody, pakował kosmetyki do tubek.

Na potrzeby gwiazd kina zaprojektował również sztuczne rzęsy, nieocenione dla odgrywania ról kusielek. Zalety sztucznych rzęs szybko doceniły również dziewczyny nieaktorki (bo są i takie).

Factor swoje wyroby nazwał *make-up*. Ktoś nie zna tego określenia???

Charakteryzacja aktora Borisa Karloffa, grającego Frankenstein, stanowiła największy sukces sztuki charakteryzacji Maxa Factora. Oscar za charakteryzację (1929 rok)!



KAZIMIERZ PRÓSZYŃSKI

pan z kamerą

Factor nie byłby tak znanym filmowym charakterizatorem, a np. Leonardo DiCaprio aktorem, gdyby nie Kazimierz Prószyński, człowiek, który skonstruował pierwsze aparaty kinematograficzne. Oczywiście, Polak. Prószyński także (to znaczy także jak Factor, nie DiCaprio) urodził się pod panowaniem tego samego zaborcy – Rosji. Pochodził ze znakomitej warszawskiej rodziny. Jego ojcem był Konrad Prószyński! Yeah! Tak, tak, ten owiany legendą autor pierwszego elementarza polskiego, zwycięzca międzynarodowej wystawy Londyńskiego Towarzystwa Pedagogicznego za *Obrazkową naukę czytania i pisania*.



W takiej rodzinie nauka szła Kazimierzowi galopem. Widząc jego zainteresowanie naukami ścisłymi, rodzice wysłali go na studia do Belgii – na politechnikę w Liege. Tam skonstruował swój pierwszy aparat do rejestracji i odtwarzania filmów – pleograf.

„Byłem, wraz z bratem, twórcą filmu francuskiego, ale istniał również pewien Polak, niejaki Kazimierz Prószyński, który nas znacznie wyprzedził” – wspominał August Lumière – wynalazca kinematografu. O, jakże słuszna uwaga i jakże zasłużona pochwała – Prószyński

opatentował swoje urządzenie rok przed braćmi Lumière.

I udoskonalił je szybciej. Problemem pierwszych urządzeń prezentujących „ruchome obrazy” było migotanie światła i „drzenie” ekranu – w efekcie widzom łzawiły oczy. Komedie czy tragedie, wszystko jedno, płakali.



Prószkiński, choć nie był lekarzem, bardzo martwiło, że oglądanie filmików jest tak niezdrowe. Zastosował więc dwa obiektywy i dwie taśmy filmowe, dzięki czemu obrazki rzucane były na przemian z jednego i z drugiego, a drgania prawie znikły. Tak powstał biopleograf. Pewnego dnia... Nasz rodak, siedząc na ławce w parku, zobaczył wywrócony rower i jego jeszcze obracające się koło. Eureka! Obracające się szprychy były początkiem idei obturatora – migawki poprawiającej obraz.



Koncern filmowy Daumont zaczął produkować na masową skalę urządzenia według projektu Polaka.

Nasz wynalazca po powrocie ze studiów do (rosyjskiej jeszcze) Warszawy założył pierwszą w historii polskiej kinematografii wytwórnię filmową – Towarzystwo Udziałowe Pleograf. Zajmowało się ono przede wszystkim promocją wymyślonych przez wynalazcę aparatów oraz filmów: *Ślizgawka w Łazienkach*, *Ślizgawka w Dolinie Szwajcarskiej*, *Ruch uliczny przed pomnikiem Mickiewicza* czy *Pogotowie ratunkowe*, dokumentujących życie codzienne w Warszawie. Nie były to jeszcze czasy, w których kręcono fabularne całości. Np. facet ślizga się w Łazienkach, wywraca się, wstaje, znowu wywraca, z wielkim siniakiem idzie pod pomnik Mickiewicza, tam wszyscy się z niego śmieją, ześlony kopie w pomnik, łamie sobie nogę i trafia na pogotowie ratunkowe – niestety, nikt się nim nie zajmuje, bo personel jest na ślizgawce.

A teraz bomba. Najbardziej efektownym wydarzeniem kulturalnym roku 1903 w Warszawie było wystawienie opery *Walkiria* (Richarda Wagnera). W Teatrze Wielkim na 20-metrowym ekranie zaprezentowano film zrealizowany przez Prószyńskiego, ukazujący lecące w obłokach walkirie, czyli panny wojowniczkę, które – uzbrojone w hełmy, tarcze, włócznie – służyły bogowi Odynowi na polu bitwy.



Wojowniczka15



Byłam! Byłam! Mama mi nie pozwoliła pójść, ale sobie poradziłam. Widziałam takie rzeczy, że nie wiem nawet, co widziałam.



Walki



Odkrycie! Szkoda, że nigdy już nie powstanie lepszy pokaz ruchomych obrazów...



Anty-walki



Moim zdaniem to wynalazek bez przyszłości. Coś tam miga, coś tam się rusza. Nic z tego nie będzie.



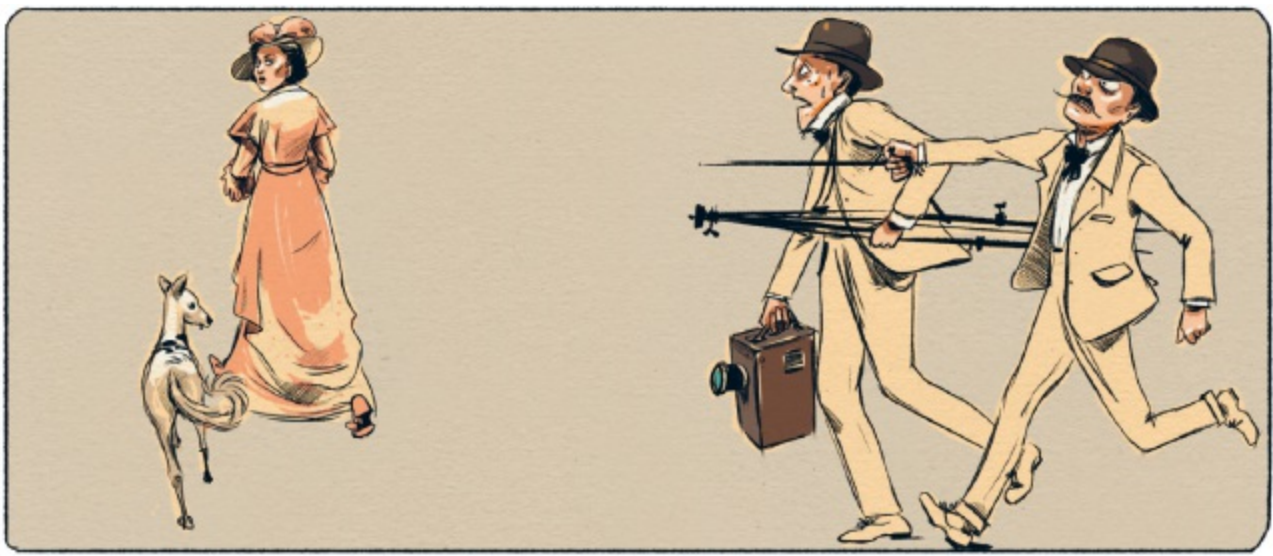
Autor 2.0



@ Anty-walki
Oczywiście.

We Francji wynalazca uzyskał patent (1909 rok) na aeroskop, pierwszą na świecie ręczną kamerę filmową.





Nowa kamera umożliwiała robienie zdjęć filmowych w dowolnym miejscu i czasie. W aeroskopie Prószyński zastosował żyroskop, który w znacznym stopniu zniwelował skutki drgania rąk operatora kamery. Dodatkowo stworzył nowy napęd do przesuwu taśmy filmowej, przycisk, który uwalniał sprężone powietrze. Nie trzeba już było kręcić korbą!

W 1911 roku Prószyński filmował koronację angielskiego króla Jerzego V. Tak, tak, był u szczytu sławy.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, Prószyński wypłynął do USA, a wojskowi operatorzy, korzystając z jego wynalazku, dokumentowali przebieg walk na pierwszych liniach frontu. Czasami byli tak zafascynowani wspaniałym sprzętem, że zapominali o własnym bezpieczeństwie. Dlatego aeroskop nazywano czasami „kamerą śmierci”.

Gdyby tak Prószyński był równie utalentowanym kapitalistą, jak wynalazcą, byłby światową sławą niczym bracia Lumière. Chyba jednak nie był. W Stanach Zjednoczonych założył wytwórnię ręcznych kamer OKO własnego pomysłu, tanich, dla amatorów. Absolutnie genialna idea, ale wytwórnia – zamiast iść od sukcesu do sukcesu – doszła do bankructwa. Wspólnicy zmusili Prószyńskiego do zniszczenia tych kamer, które się nie

sprzedały (by nikt nie skopiował pomysłu). Ach!



Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości (listopad 1918 roku) Prószyński wrócił do odradzającej się na nowo ojczyzny. Nasz wielki wynalazca zmarł podczas II wojny światowej w niemieckim obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen. Na YouTube możesz odnaleźć poświęcony mu krótki film: *Geniusz nr 129957*, zrealizowany przez Studio Filmowe Harpoon Films.

JAN SZCZEPANIK

pan z telewizją

Jeżeli potrzebujecie pozytywnych wibracji i megawzmocnienia, to koniecznie przeczytajcie tę historię. Galicyjski geniusz mógłby służyć psychologom za przykład, co może czynić siła woli i jak można kształtować swój los!

Jan Szczepanik był nieślubnym dzieckiem chłopki spod Krosna, szybko osieroconym, wychowywanym przez wujostwo. Po ukończeniu gimnazjum w Jaśle i seminarium nauczycielskim w Krakowie pracował jako nauczyciel w podkrośnieńskich wsiach. Nikt, nawet sam Janek, nie myślał o światowej sławie. To, że został nauczycielem, już wydawało się niezłym skokiem na kasę. Przecież nie miał żadnego gospodarstwa, na które mógłby wrócić. Jednak...



... coś go niosło w świat, ku przygodzie i próbie sił z losem.

W 1896 roku jako dwudziestokilkulatek przeniósł się do Krakowa. Rozpoczął pracę w „Magazynie aparatów fotograficznych” Ludwika Kleinberga. Szczepanik jako samouk zgłębiał tajniki technologii i konstrukcji ówczesnych aparatów oraz przyborów

fotograficznych.

Niektórzy pracodawcy, trzeba z żalem przyznać, gaszą inicjatywę swoich pracowników. Inni umieją ją wykorzystać (obyście byli tacy!). Kleinberg uznał, że Szczepanik to klejnot. Założył Societe des Inventios Jan Szczepanik et Cie w Wiedniu, towarzystwo do finansowania i wdrażania wynalazków Jana Szczepanika!

Towarzystwo uruchomiło zakład produkujący karty perforowane do unowocześnionych przez pana Jana maszyn żakardowych. Brzmi pewnie tajemniczo i niech tak zostanie, dość, że karty perforowane do maszyn żakardowych to była wielka sprawa. Szczepanik otworzył pracownie w Wiedniu, Berlinie, Dreźnie. Stał się kimś. A już niedługo stał się Kimś, twórcą wynalazku, który zrewolucjonizował przemysł włókienniczy – fotoelektryczną metodę tkania wzorzystego. Dzięki temu powstała m.in. nowa technologia produkcji gobelinów maszynowych (a nie robionych ręcznie), efektownych i niedrogich. Największy gobelin utkany metodą Szczepanika to *Apoteoza* (1,2 m na 1,5 m), tkanina wykonana z okazji jubileuszu 50-lecia panowania cesarza Franciszka Józefa I. Natomiast popularny, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, gadżet stanowiły miniatury gobelinów zamieszczane na kartkach pocztowych, zwane „szczepanikami”.

Wielcy i bogaci przemysłu włókienniczego na świecie zacierali z radości ręce, a Mark Twain (autor m.in. *Przygód Tomka Sawyera*) napisał o „polskim Edisonie” dwa artykuły. A mógł napisać jeden. Albo nawet żadnego.

Ktoś powie, że przecież można żyć bez gobelinów (podobnie jak bez lodów, rzepów i zamków błyskawicznych – ale co to za życie?), o co więc tyle hałasu? Bez filmów jednak żyć nie sposób. Szczepanika pochłoneły prace nad barwnym filmem. Już w 1900 roku opatentował w Wielkiej Brytanii wynalazek barwnej kliszy filmowej. W 1915 sporządził kamerę filmową do filmu barwnego, a później projektor. Wynalazek Szczepanika wykorzystwały w latach 30. firmy Kodak (USA) i Agfa (Niemcy) do produkcji kolorowych klisz fotograficznych. Wynalazca skonstruował też kolorymetr (aparat do pomiaru barw).

A teraz najlepsze. Sławny Polak z Krosna wymieniany jest wśród trzech pierwszych twórców telewizji! W Brytyjskim Urzędzie Patentowym złożył projekt urządzenia, które mogło przenosić na odległość obraz wraz z towarzyszącym mu dźwiękiem. Nazwał to urządzenie telekroskopem.



Ilekoć zobaczycie w telewizji amerykański film policyjny, pomyślcie o Szczepaniku. Nie tyle z powodu samej telewizji, ile z powodu kamizelek kuloodpornych, które nieraz „grają” w filmach. Toż przecież tkanina jedwabna o specjalnym splocie i grubości, z której szyto kamizelki testowane z użyciem broni palnej i siecznej, to wynalazek naszego Jaśka!

Ocalenie życia królowi Hiszpanii przyniosło Szczepanikowi rozgłos w świecie. Podczas zamachu bombowego król Alfons XIII ocalał, bo karetę wyłożoną była wewnątrz tkaniną kulochronną!

Kamizelka uratowała natomiast cara rosyjskiego Mikołaja II. Car, nie chcąc okazać się gorszym od Alfonsa XIII, nadał Szczepanikowi order, ale konstruktor z pobudek patriotycznych... odmówił. Car przekazał wtedy w prezencie zegarek wysadzany brylantami. Tak, tak, już wtedy dobry zegarek uważano za godne wynagrodzenie.

TWÓJ SUKCES



MOŻESZ
WSZYSTKO!

JAN SZCZEPANIK

W SZCZEREJ ROZMOWIE WYJAŚNIA
TAJEMNICE SWOJEGO SUKCESU



SKŁODOWSKA: CZY KOBIETA MOŻE...?

MARIA NOBLISTKA SKŁODOWSKA



Najpierw stosowny wierszyk:

🍂 Żegnaj siostrzyczko, chociaż z obcymi
wola cię własna związała
Nie przestań kochać tej drogiej ziemi
Gdzieś światło dzienne ujrzała.(...)
Wszakże ojczyzna w sercach jedynie
Naszych ma życie i trwanie.
Niechajże zawsze w obcej krainie
Serce Twe polskim zostanie.

To wierszyk Marii Skłodowskiej na wieść o ślubie przyjaciółki z... Niemcem. Była wówczas od kilku lat we Francji. Wtedy uważała, że małżeński związek z cudzoziemcem nie wchodzi w grę, bo byłoby to niepatriotyczne, szczególnie jeśli chodziło o przedstawiciela państw zaborców.

Do Francji wyjechała, bo właściwie nie miała wyjścia. Była bardzo zdolna (ta opinia nie odnosi się akurat do umiejętności pisania poezji) i chciała zdobyć dobre wykształcenie, natomiast uniwersytet rosyjski w Warszawie nie przyjmował kobiet. Studia zagraniczne z kolei były bardzo kosztowne.

Na szczęście w Paryżu studiowała siostra Marii, Bronisława. Maria kilka lat pracowała jako guwernantka, by finansowo wspierać siostrę. Teraz nadszedł moment, w którym Bronka mogła Marysi pomóc.

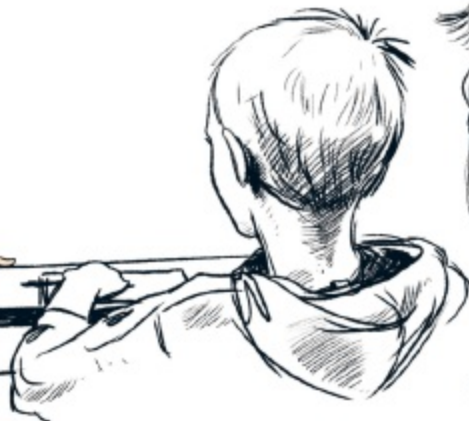
MARIA, KIEDY WYJEŻDZAŁA Z WARSZAWY, JECHAŁA 3 KLASĄ,
POTEM 4, MUSIAŁA BYĆ ZAOPATRZONA WE WSZYSTKO...

4 KLASĄ? GDZIE SIEDZIAŁA? NA DACHU?

NIE, ALE ABY SIEDZIEĆ, SKŁODOWSKA MIAŁA ZE SOBĄ
STOŁECZEK. I OCZYWIŚCIE WŁASNY KOC.



ZAPISAŁA SIĘ NA WYDZIAŁ NAUK ŚCIŚYCH
NA SORBONIE, A TAM, WYOBRAŹCIE
SOBIE, ŻE NA PONAD 1800 STUDENTÓW
STUDIOWAŁY TYLKO 23 KOBIETY.





PRAWIE WSZYSTKIE BYŁY CUDZOZIEMKAMI.
ŻADNYCH IMPREZ, ZABAW...

AAAAA!



RYWALIZACJA OGROMNA.
MARIA WŁAŚCIWIE CAŁY CZAS SIĘ
UCZYŁA, BO NIE BYŁO ŻADNYCH
VLG DLA KOBIEC, PRZECIWNIE.
ICH STUDIOWANIE UWAŻANO ZA
FANABERIĘ, ZAWSZE MUSIAŁY
UDOWADNIAĆ, ŻE SĄ RÓWNE,
A NAWET LEPSZE!



MARIA BARDZO OSZCZĘDZAŁA NA MIESZKANIU I JEDZENIU,
MIESZKAŁA NA PODDASZU...



... ŻYWIŁA SIĘ RZODKIEWKAMI I HERBATA.

O, PRZECZYTAM WAM,
CO PISAŁA JEJ CÓRKA:



MARIA OTWIERA KUFER, WYJMUJE BLUZKI, SUKNIE, BIELIZNĘ. ILE SIĘ DA,
NAKLĘDA NA SIEBIE, REZTĘ ZAŚ RZUCA NA KOŁDRĘ I PONOWNIE WSUWA SIĘ
DO ŁÓŻKA. JEDNAK JEŚCZE JEST ZIMNO.



WIĘC LEŻĄC, WYCIAGA RĘKĘ, CHWYTA KRZESŁO I KŁADZIE
NA WIERZCHU NA STOŚIE UBRAN, ŻEBY JE PRZYCISNAĆ...!



Maria Skłodowska skończyła fizykę z najwyższą oceną, co dało jej możliwość pisania doktoratu i otwierało późniejszą drogę naukową. Potem był dyplom z matematyki. Pośrednio jej wyniki wskazują na korzystne efekty spania w zimnych pomieszczeniach.

Gdyby nie skręciła w stronę chemii, nie poznałaby swojego przyszłego męża, chemika. Miał być Polakiem? Miał. Był? Nie był. Miłość nieraz każe zapomnieć o poczynionych postanowieniach. W każdym razie tak się dzieje wtedy, kiedy między ludźmi jest tzw. chemia.

Mieszanie zakończyło się już (?) po trzech latach wielkim sukcesem. Skłodowska wyodrębniła rad i ustaliła jego ciężar atomowy. Wkrótce odkryje też drugi pierwiastek, który nazwie, no, proszę, polon – na cześć Polski (której wcale przecież na mapach nie było...) – i po raz pierwszy w dziejach użyje terminu „promieniotwórczość”. Badania nad promieniotwórczością to sukces, który Marii oraz Piotrowi Curie i jeszcze jednemu francuskiemu badaczowi przyniesie Nagrodę Nobla w 1903 roku.

Maria staje się sławna. Życie jej i jej męża ulega przyspieszeniu. Piotr pisał do przyjaciela:

„Nagły atak uwielbienia dla radu. Pociągnęło to za sobą dla nas wszystkie rozkosze chwilowej popularności:

ścigali nas dziennikarze i fotografowie ze wszystkich państw świata, posuwając się aż do przytaczania rozmowy mojej córki z niańką i do opisywania naszego kota w czarne i białe łaty. Później zasypały nas listy i odwiedziny wszystkich dziwaków i wszystkich zapoznanych wynalazców. Wiele osób zwracało się do nas po pieniądze”.

Tak, tak, istniały już tabloidy, a zapotrzebowanie na życie sławnych ludzi było nie mniejsze niż dzisiaj! Skłodowska-Curie doświadczyła również ciemnej strony działalności mediów, kiedy po śmierci Piotra wdała się w romans z pewnym Francuzem, też naukowcem. Miał on ciężkie życie z zaborczą żoną, nieceniącą jego pracy naukowej. Oczywiście, miał się

BLENDY SMOLISTE – POZOSTAŁOŚĆ PO EKSTRAKCYJ URANU. CAŁY DZIEŃ DZISIAJ MIESZAM GOTUJĄCĄ SIĘ BLENDĘ, PO CO? PRÓBUJĘ WYODRĘBNIĆ CZYSTY RAD!



z nią rozstać, ale – jak to się często dzieje – jakoś się nie rozstał. Prasa popularna zwiedziała się o spotkaniach (zgadliście pewno, że informacja pochodziła od żony). Zaczęła się wściekła wręcz kampania pod sztandarem „Cudzoziemko, nie kradnij mężów francuskim uczciwym kobietom...”. Odbyła się nawet demonstracja przeciwko romansowi!

Cóż, jak głosi znane przysłowie, „kto nie ma szczęścia w miłości, ma szczęście w nauce” (czy jakoś tak). W 1911 roku Komitet Noblowski przyznał Skłodowskiej-Curie nagrodę za badania nad radem. Świat oszalał na punkcie radu, szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Jej sława zataczała światowe kręgi. „A wczoraj jeden Amerykanin pisał do mnie z prośbą, abym mu pozwoliła konia wyścigowego ochrzcić moim nazwiskiem” – zanotowała.



Wila 21
użytkownik

Ależ rad wydawał się ogromnym dobrem. 😊



Sinu
użytkownik
★★★

No tak, uważali, że ma właściwości przeciwmarszczkowe, więc dodawali rad do kremów. Ale i szminek, by usta miały blask, kremów na łysienie... Perfumy też bywały z radem, ale najgłupsze było picie radioaktywnej wody jako dodającej zdrowia.



Jolusia
członek
★★

To nic w porównaniu z odkryciem, że pierwiastek wydziela ciepło, i wtedy zaczęto dodawać go do wełny, z której robiono... ubranka dla dzieci! 😞

W 1934 roku Maria umarła na białaczkę, jej notesy z laboratorium przechowuje się pod kluczem, bowiem nadal są zbyt radioaktywne, by można je było oglądać bez osłon! Dzisiaj nieporównanie więcej wiemy o szkodliwości promieniowania... Badania nad promieniotwórczością zabiły uczoną, ale dały broń do walki z rakiem (radioterapię) i oczywiście badanie RTG.

Albert Einstein, z którym Skłodowska utrzymywała kontakt przez prawie ćwierć wieku, pisał o niej:

„Zawsze podziwiałem Marię Curie. Siła charakteru, czystość intencji, niepobłażanie sobie, obiektywizm, niezależność sądów. To bardzo rzadkie, by wszystkie te cechy skupiły się w jednej osobie”.

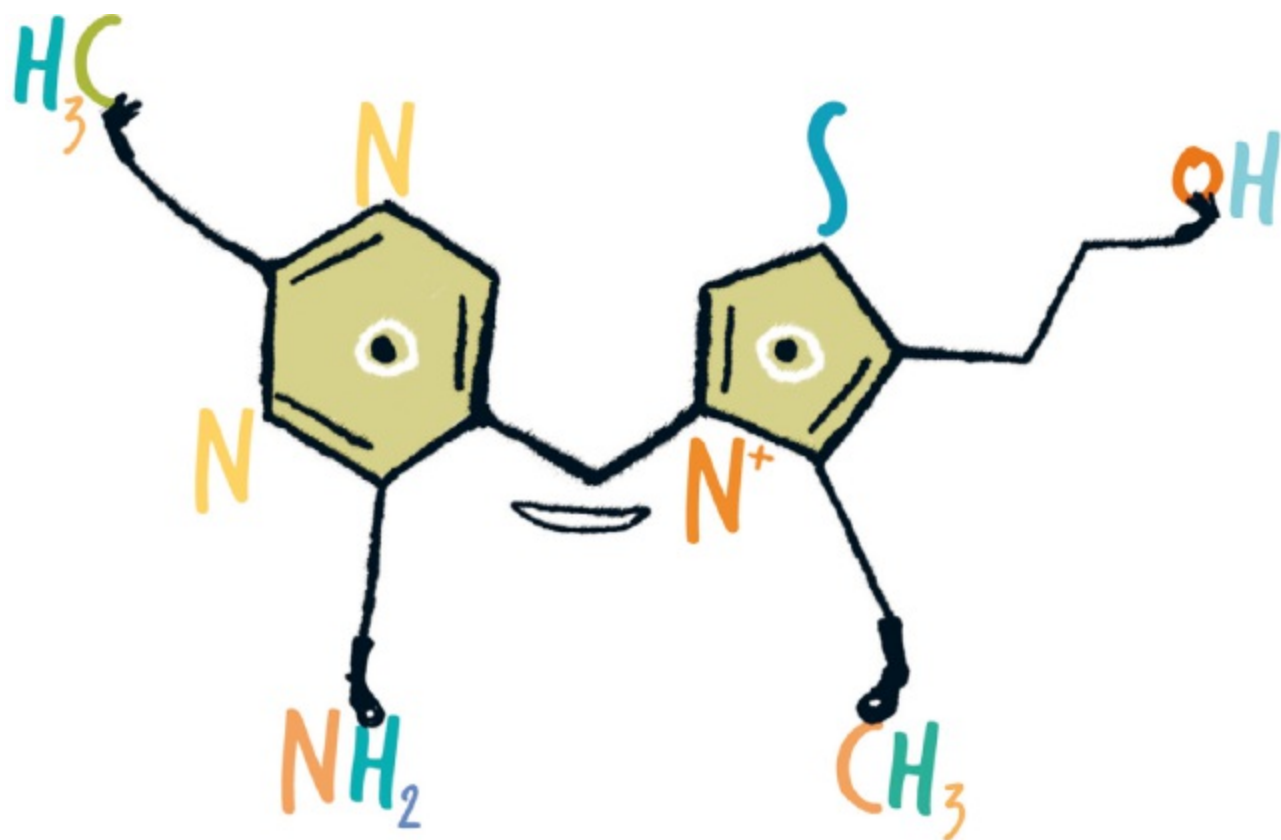
„Och, moje drogie biedactwo – pisała do córki. – Jakież okropne obcasy... Nie, nigdy

mnie nie przekonasz, że kobiety są stworzone do chodzenia na szczudłach”.

KAZIMIERZ FUNK



mistrz formuły B1





Autor 2.0
użytkownik

Serwus wszystkim! Może ktoś ma pod ręką wzór sumaryczny witaminy B1? Bo by mi się straaaasznie przydał.



mcs
użytkownik

Serwus??? Skąd jest ten kolo? 😊



Szrek
admin

Hej, dziadku, wzór masz przed sobą. Nałóż okulary to zobaczysz.



Autor 2.0
użytkownik

@ Szrek

Rzeczywiście. Bardzo dziękuję.

Jeśli jesteście ciągle zmęczeni albo... chorowaliście na beri-beri, to oznacza, że nie macie w organizmie zbyt wiele witaminy B1. Kazimierz Funk, pracując w różnych laboratoriach (w Instytucie Pasteura w Paryżu, na uniwersytecie berlińskim, w Wielkiej Brytanii), biedził się nad przyczynami bardzo groźnej choroby beri-beri (skrajna forma awitaminozy). Ponieważ był bardzo mądry i chciał kiedyś trafić do naszej książeczki, wyodrębnił z otrąb ryżowych pierwszą witaminę B1. To jej brak wywoływał beri-beri. Funk był pierwszym odkrywcą istnienia witamin i autorem terminu „witamina” (*vita* – życie; tak się składa, że witaminy, chociaż niezbędne organizmowi do przeżycia, nie są przez organizm produkowane, muszą być dostarczone w pożywieniu). Klask, klask, klask. Listę osiągnięć ma długą, nie tylko dlatego, że długo żył. Przede wszystkim rozwijał nową wówczas gałąź nauki – biochemię.

Był biochemikiem pracowitym, regularnie podróżującym „za pracą”. Urodził się w Warszawie, w wieku lat 16 wyjechał do Szwajcarii, a następnie jeździł i jeździł. Genewa, Brno, Paryż, Londyn, Berlin. Podczas I wojny światowej Funk przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, gdzie prowadził badania nad wykorzystaniem witamin do celów leczniczych.



W USA wreszcie zagrzała miejsca na dłużej, ale oto, niespodzianie, powstała wolna Polska. Zatem Funk na początku lat 20. XX wieku wrócił do ojczyzny, a właściwie przyjechał, bo przecież kiedy wyjeżdżał z Warszawy w 1900 roku, była ona miastem w Rosji. Dzięki ludziom dobrej woli i finansowemu wsparciu Fundacji Rockefellera (już wtedy był najbogatszym człowiekiem świata, zaopatrzonym w wiedzę Ignacego Łukasiewicza, Polaka, o którym jeszcze napiszemy) został kierownikiem Wydziału Biochemii w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie. Jednak długo nie zagrzała w Polsce miejsca, mimo – wydawałoby się – dobrego tempa prac nad pozyskaniem insuliny. Wyjechał na pewien czas do Paryża, trochę trwało, aż wybuchła II wojna światowa. Funk, zupełnie jak 25 lat wcześniej, udał się do USA, gdzie pozostał do śmierci. Pracował nad badaniem przyczyn nowotworów oraz nad wyodrębnieniem hormonów. Aby profesor nie rozpraszał się poszukiwaniem środków na badania, grono majątnych osób założyło specjalnie dla niego The Funk Foundation for Medical Research (Fundacja Funka dla Badań Medycznych)!

Dzisiaj, kiedy nie tylko półki w aptekach, ale nawet i w sklepach spożywczych oferują dziesiątki Wielkich Promocyjnych Opakowań z preparatami witaminowymi, warto może pamiętać, że Funk mówił o mikrodawkach, a nie wiadrach witamin brakujących organizmowi.

JÓZEF BARANOWSKI

wynalazca kanarów

Mieszanie się Polaków w chemię ma długą tradycję. Zaczynał jeszcze Jędrzej Śniadecki ponad 200 lat temu. Jednym z jego studentów był Józef Baranowski, o którym, przyznajcie się, pewno nigdyście nie słyszeli. Aż do tej chwili...

Studiował na Uniwersytecie Wileńskim, na Wydziale Matematyczno-Fizycznym w latach 1821–1825, właśnie wtedy, gdy doszło do procesu i aresztowania członków Towarzystwa Filomatów – Zana, Mickiewicza czy Odyńca. To sławna historia, bo opisana została przez Adama Mickiewicza w trzeciej części dramatu *Dziady*.

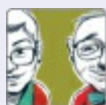


Wiarołomny 1792

przed chwilą

Akurat mi się jakoś zapomniało, kto to był Mickiewicz. Proszę o podpowiedź.

Lubię to • Skomentuj • Udostępnij



Autorzy 2.0 Podpowiedź: Może masz za mało witaminy B1 (a może jakieś innej).

Lubię to • Odpowiedz 20

To był czas rozkwitu Uniwersytetu Wileńskiego, największej szkoły wyższej w państwie rosyjskim! Baranowski najpierw studiował nauki ścisłe przez cztery lata, a następnie prawo. Dalsze jego losy układały się niczym w broszurce „Nauka popłaca, młody człowieku”. Baranowski zdobył pracę w biurze korespondencji zagranicznej Banku Polskiego w Warszawie. Bank był nowatorską placówką, bardzo dla Polaków ważną. Baranowski był inteligentny i znał dobrze języki obce. No i miał dyplom dobrej uczelni, co było wówczas niezbyt częste.

W czasie studiów udało mu się uniknąć zaangażowania w działalność patriotyczną, ale kiedy wybuchło powstanie listopadowe (1830 rok), rzucił posadę i wstąpił do powstańczego wojska. Walczył, walczył, aż – podobnie jak tylu innych uzdolnionych Polaków – wylądował na emigracji po klęsce powstania. Ups. Ponieważ mógł wylądować w więzieniu albo na cmentarzu, przywykło się mówić, że miał szczęście.



Bywa, że emigranci polityczni, przekonani o swojej wielkiej wartości dla ojczyzny, nie aklimatyzują się dobrze na obczyźnie. Podejmują się dorywczych prac, czują się (słusznie zresztą) niedoceniani, popadają w melancholię, ba, zdarza się im nawet palić papierosy. Tak, tak... Baranowski reprezentował jednak inny typ emigranta. Energiczny, uzdolniony i dobrze znający język francuski wziął się do roboty. W latach 40. zatrudniony został przez francuskie koleje i było to udane małżeństwo.

Na Wystawie Powszechnej w Londynie nagrodzona została skonstruowana przez Baranowskiego maszyna do druku i kontroli biletów.

Życie z biletami i kasownikami

	Nie ma kasowników	Są kasownicy
<i>Radość z podróży</i>	Praktycznie żadna	Odczuwalna
<i>Dreszcz emocji</i>	Nic, nuda	Wielokrotny
<i>Styl podróżowania</i>	Jak tobołek	Na bogato
<i>Sens życia</i>	Podważony	Pełny

Tak, francuskie koleje mogły wznosić dziękczynienie do losu, że im się taki Polak trafił!
A to jeszcze nie koniec!



Automatyczny system sygnalizacji kolejowej zwany semaforem po raz pierwszy został zastosowany na linii Paryż – Rouen, potem przejęli go Włosi, Szwajcarzy... cały świat. Mimo sukcesów los emigranta-wynalazcy nie był łatwy dla Baranowskiego. Na początku lat 70. zniechęcony do Francji wyjechał do Londynu. Zraził się do władz Francji za absolutne niedocnienie swoich zasług. Otóż w 1871 roku, po przegranej wojnie francusko-pruskiej, Francja została zobowiązana do zapłaty wysokiej kontrybucji. Baranowski przedstawił

władzom plan pożyczki rządowej, który dawał Francji możliwość zapłaty. Rząd francuski nie uznał za stosowne nagrodzić pomysłodawcy. No, naprawdę...

W Londynie pracował w Towarzystwie Literackim Przyjaciół Polski, będąc poliglotą, zajął się opracowaniem słowników.



Jednym ze słowników opracowanych przez Baranowskiego był *The Student's Anglo-Polish Grammar*, podręcznik do nauki języka polskiego dla Anglików.

Świat ma wielkie szczęście, że najważniejszym międzynarodowym językiem nie jest polski!



AK-OWIEC, CO WYMYŚLIŁ LAPTOPA

jak Polska Ludowa nie chciała swojego Billa Gatesa

W 1959 roku Jacek Rafał Karpiński stworzył pierwszy na świecie tranzystorowy analizator równań różniczkowych. Czyli, rzecz oczywista, komputer (analogowy).

Rok później, jako jeden z sześciu nagrodzonych, zwyciężył w ogólnoświatowym konkursie młodych talentów techniki organizowanym przez UNESCO. W nagrodę przebywał w latach 1961–1962 w USA, studiując m.in. na Harvardzie.





Przyjmowano mnie jak króla. Byłem tym zresztą bardzo onieśmielony. Witął mnie rektor ze wszystkimi dziekanami, a w Dallas – burmistrz miasta. I wszyscy chcieli, żebym dla nich pracował, począwszy od IBM, a skończywszy na uniwersytecie w Berkeley. W San Francisco proponowano mi nawet otworzenie własnego instytutu.

Jednak wrócił do domu, do Polski. Była to Polska mało niepodległa, rządzona przez komunistów. Karpiński ich nie znosił, ale uważał, że:



Zawsze wierzyłem, że sobie kiedyś pójdą. A technologia zostanie. Poza tym uważałem, że to nie byłoby w porządku – wyjechać na delegację i zostać.

Jacek Karpiński miał barwny, wojenny życiorys. W czasie okupacji hitlerowskiej zaprawiał się jako uczestnik konspiracji w różnych formacjach harcerskich. W 1944 roku walczył w powstaniu warszawskim, najpierw, razem z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim, w plutonie „Alek”, a później w batalionie „Zośka”. Ciężko ranny, sparaliżowany cudem (i własną pracą – one często chodzą razem w parze) odzyskał władzę w nogach.

Najdłuższą walkę toczył jednak jako konstruktor – z Polską Ludową.

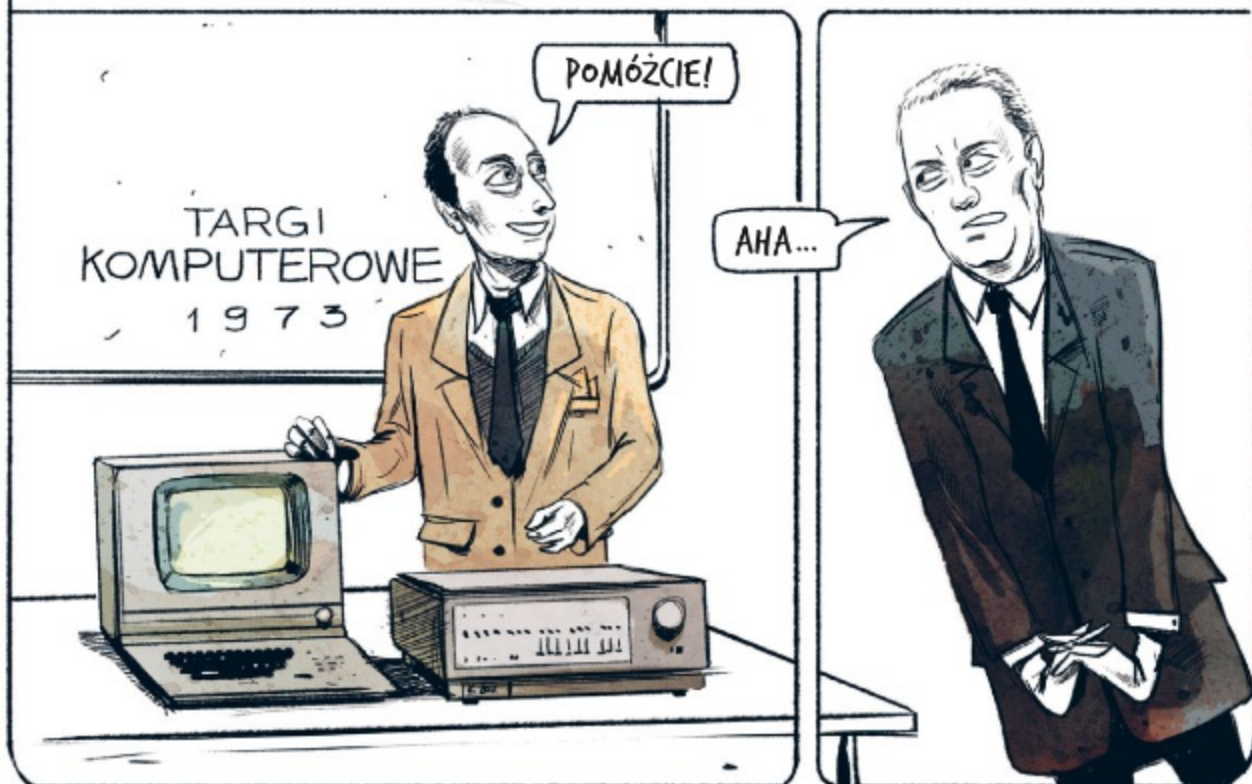


Kiedy dzisiaj myślimy „mały komputer”, mamy na myśli laptop, który wygląda jak deseczka do krojenia cebuli. W latach 60. komputery miały rozmiar dużego pokoju, a małe okazy były wielkości szafy. Karpiński w 1969 roku przedstawił władzom komputer wielkości walizki! Wedle legendy, odpowiednia komisja orzekła, że budowa tak małego komputera jest niemożliwa, bo gdyby była możliwa, to Amerykanie dawno by już go skonstruowali!

Karpiński nie poddawał się. Nowy przywódca, I sekretarz PZPR Edward Gierek, zapoczątkował politykę brania kredytów od wstrętnych, kapitalistycznych państw i kupowania milutkich zachodnich technologii. Zespół Karpińskiego dostał kredyt od Brytyjczyków i zaprezentował światu K-202. Pracował (komputer, nie zespół) z szybkością miliona operacji na sekundę – szybciej niż komputery osobiste 10 lat później. Jedynymi jego konkurentami w tamtym okresie były minikomputer Super-Nova (USA) oraz CTL Modular One (Wielka Brytania).



GIEREK PRZEKONUJE STOCZNIOWCÓW DO PRZERWANIA STRAJKU, GDAŃSK, 1971



Smętnie w tej historii jest to, że Edward Gierek chciał pomóc, ale i tak jego socjalistyczne państwo nie poradziło sobie z wykorzystaniem wielkiej szansy. Projekt ugrzązł w „naradach” i „planowaniach” nieruchawych struktur państwowego przemysłu. Potem przyszedł kryzys i skończyły się pieniądze. Karpińskiego ciągle szykanowano jako tego, który „czegoś chce” i zakłóca spokój. K-202 wyprodukowano 30 egzemplarzy, potem zarzucono produkcję, choć na taśmach czekało 200 nieukończonych sztuk.

Przegraliśmy wyścig z wielkimi potęgami. *Sniff, sniff...*



Karpiński, rozgoryczony, chciał wyjechać do USA, ale wyjechał tylko na Warmię, gdzie zajął się hodowlą drobiu i trzody chlewnej.



Dopiero podczas stanu wojennego Karpiński wyemigrował do Szwajcarii, gdzie zaczął pracować dla producenta profesjonalnych magnetofonów Nagra, stworzył też m.in. robota sterowanego głosem oraz Pen Reader – skaner wraz z oprogramowaniem do wczytywania

i czytania tekstu po jednej linijce.

POLAKÓW CHCĄ W KOSMOSIE



Zmieniamy nastrój! Bo to tylko tak się wydaje, że nam nigdy nic nie wychodzi, poza może narzekaniem, które wychodzi bardzo dobrze. Otóż nie! Sukces jest naszym chlebem powszednim!



Green52
użytkownik
☆☆

02.06.2013 o 21:34 Green52 napisał(a):

Drużyna studentów z Białegostoku zwyciężyła w konkursie łazików marsjańskich, organizowanych przez Mars Society!!!!

Polacy zdobyli rekordową, niespotykaną do tej pory liczbę punktów. To już mamy pojazd na wakacje 😊😊



Słonko
użytkownik
☆☆☆

07.08.12 o 09:22 Słonko napisał(a):

Ja chętnie pod warunkiem, że bym nie cierpiała na lęk wysokości. Choć w Kosmosie to chyba nie ma znaczenia!



Mimi12
użytkownik
☆☆

15.06.13 o 15:43 Mimi12 napisał(a):

A pamiętacie, jak Heraszewski w 1978 roku wyleciał w Kosmos? Co musiała wtedy czuć jego rodzina? Co prawda tylko 8 dni, ale ja byłabym pod strachem, czy go jakieś ufoludzice nie porwą?



Lusia
członek
☆☆

15.06.13 o 16:01 Lusia napisał(a):

W USA ludzie zaczęli się zapisywać na listę na loty podgwiezdne. Za wielkie miliony.



Green12
użytkownik
☆☆

16.06.13 o 11:52 Green12 napisał(a):

Pewnie niebawem taka możliwość będzie 😊

Poleciłibyscie? Na Marsa?



Kendo
członek
☆☆

16.06.13 o 12:07 Kendo napisał(a):

Naukowcy mówią, że tam jest jakieś życie.



Jaga13
członek
☆☆

17.06.13 o 10:42 Jaga13 napisał(a):

A niech sobie będzie tam życie. Mnie i tu jest dobrze. Mamy taką piękną roślinność i zwierzęta, a tam co??? Same doły i równiny. 😞

Gorąco nieziemskie, sucho, powietrze pełne pyłu. A jednak Mars ma miłośników. Do tego stopnia, że organizują zawody łazików marsjańskich – odbywają się na pustyni w stanie Utah. Konkurencje: jazda precyzyjna, w trudnych pustynnych warunkach łaziki muszą pobrać próbki z podłoża i znaleźć w nich ślady życia oraz udzielić wsparcia potrzebującemu pomocy astronauty. Marsofile wierzą, że już niedługo wylądujemy na Marsie. My, ludzie.

„Byliśmy małą sensacją. Pierwszą konkurencję zrobiliśmy na 100%, drugą też” – opowiadał po zawodach Piotr Ciura, koordynator projektu „Hyperion”. „Trzecie zadanie, jazdę po trudnym terenie, ekipa wykonała w 12 minut (było przewidziane na godzinę). Tylko my je ukończyliśmy”.



A wszystko zaczęło się od tego, że organizacja Mars Society doszła do wniosku (być może kierując się tezą głoszoną przez genialnego Stephena Hawkinga: „Nadchodzi czas, gdy ludzie nie pomieszczą się na Ziemi”), że należy badać inne światy. Na ogół ludzie tak myślący zaczynają chodzić do wróżki, ale ci akurat organizują zawody międzynarodowe University Rover Challenge. Celem głównym zawodów jest rozwój technologii służącej do eksploracji innych planet.

Zdobywając 493 punkty na możliwych 500, Polacy pobili rekord. Łaziki polskich

studentów właściwie zdystansowały najbardziej rozwinięte technologicznie i bogate państwa.

Za naszym Hyperionem uplasował się... wrocławski Scorpio III, zajmując drugie miejsce.

„Nigdzie w Europie nie buduje się tylu zrobotyzowanych pojazdów, co na polskich uczelniach. Przypuszczam, że u źródeł tego zjawiska leży fascynacja kosmosem zainicjowana nowymi możliwościami, jakie otworzyły się przed Polską dzięki przystąpieniu w 2012 roku do Europejskiej Agencji Kosmicznej” – mówi Robert Lubański z Mars Society Polska.

„Technologie kosmiczne to także inwestycja w markę kraju. Wtedy nawet produkty *low-tech* są lepiej postrzegane. Niech świat powie: ci Polacy to jednak potrafią” – przekonuje Mateusz Józefowicz (szef Mars Society Polska).

Potrafią? Studenci Politechniki Warszawskiej zajęli się konstruowaniem łązików na Księżyc.

Na dzień dobry zaliczyli wtopę.



? Psychozabawa:

Podczas zawodów kurier przywozi Wam części robota, którym chcecie zadziwić świat. Okazuje się, że jedna z części zawieruszyła się gdzieś po drodze. Co

zrobisz, kiedy kurier zgubi część robota?

- a) Umierasz na atak serca.
- b) Histeryzujesz, uspokajasz się trochę i znowu histeryzujesz.
- c) Zastygasz w bezruchu na tydzień, dwa.
- d) Robisz nowy łożnik.

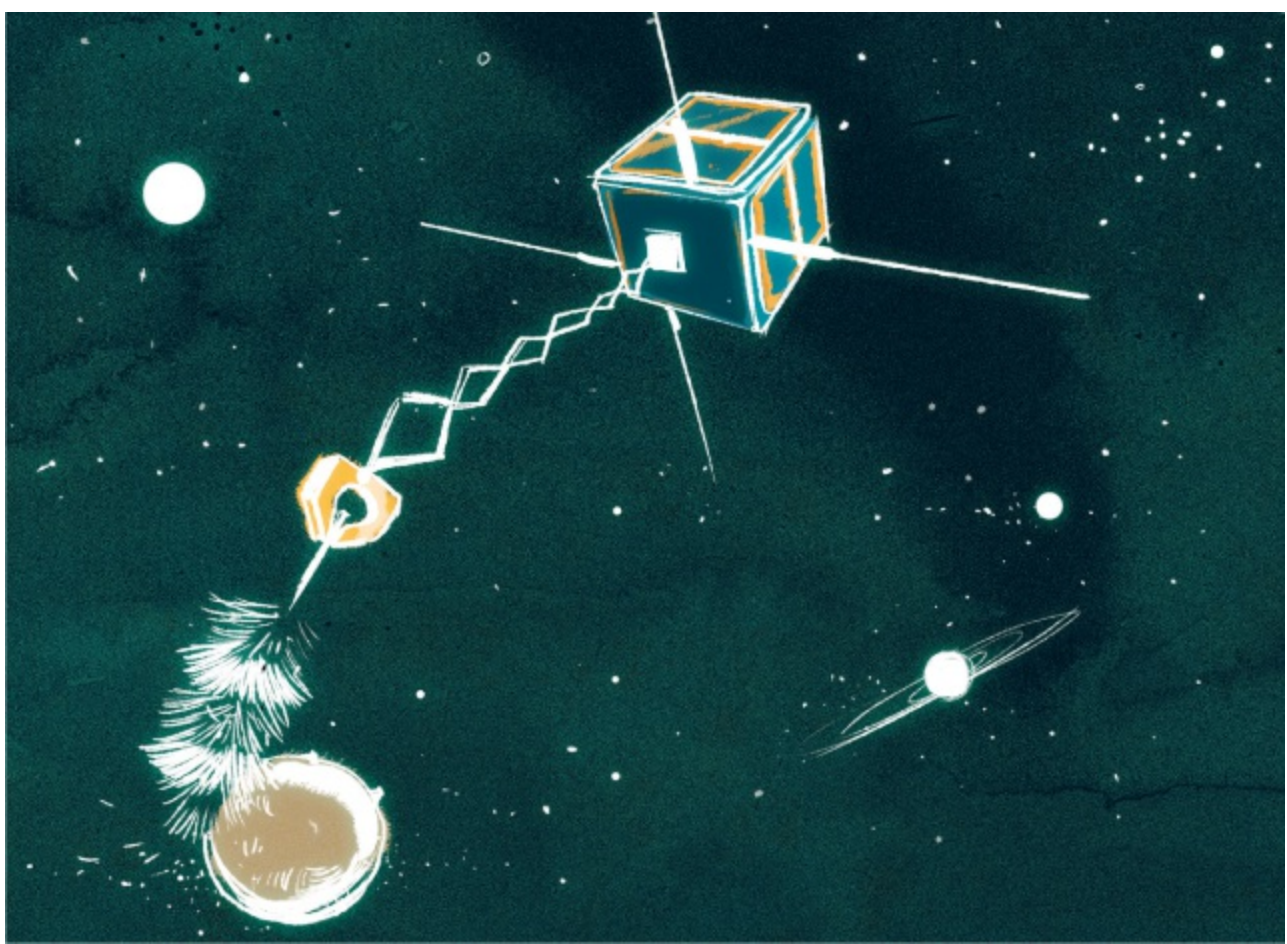


„Towarzyszyło nam hasło kierownika misji Apollo 13: *Failure is not an option* (Porażka nie wchodzi w grę)” – opowiada Adam Karcz, szef ekipy.

Inne drużyny udostępniły swój sprzęt i w pokoju hotelowym Polacy składali nocą Husara, księżycową koparkę. Nie zdążyli wziąć udziału w konkursie punktowym, ale otrzymali ogromne brawo od innych ekip i wyróżnienie od NASA. A my bijemy brawo pomocnym ekipom za *fair-play*.

A gdyby ktoś jeszcze wątpił, czy dajemy radę...

PW-Sat to pierwszy polski satelita, dzieło studentów (kto powiedział, że na studiach w Polsce nikt nic nie robi?). Satelita, kostka o boku 10 cm, najpierw poleciał do Gujany Francuskiej i tam z kosmodromu Europejskiej Agencji Kosmicznej w przestrzeń zabrała go rakieta Vega.



PW-Sat miał nie lada zadanie wymyślone przez studentów Politechniki Warszawskiej. Otóż, ni mniej, ni więcej, posprzątać Kosmos. Ziemia pływa w kosmicznych śmieciach (6,5 tys. ton)! Są one bardzo niebezpieczne dla satelitów i stacji kosmicznych. Śmieci to pozostałości po zużytych satelitach czy wyrzucanych rakietach.

I tym miał zająć się PW-Sat, opracować i przetestować system usuwania niepotrzebnego sprzętu z orbity. Miał zacząć od siebie. I wiecie, co? Nie udało się, misja zakończyła się niepowodzeniem! Niby zła wiadomość, ale dla Ciebie dobra. Jak tylko skończysz czytać książkę, którą masz w ręku, będziesz mógł zabrać się do pracy nad PW-Sat 3 (nie „2”, bo PW-Sat 2 robią już rozjuszeni porażką warszawscy studenci).

Polacy są też współtwórcami satelity naukowej BRITE.

SATELITY BRITĘ MAJĄ PRZED W SZYSTKIM MIERZYĆ ZMIENIAJĄCĄ SIĘ JASNOŚĆ GWIAZD. A DZIĘKI TYM INFORMACJOM NAUKOWCY BYĆ MOŻE LEPIEJ ZROZUMIEJĄ, W JAKI SPOŚÓB GWIAZDY WYTWARZAJĄ ŚWIATEŁO I ENERGIĘ.



A CO MY BĘDZIEMY Z TEGO MIELI?



SZANŚĘ NA TANIE I NIEOGRANICZONE ŹRÓDŁA ENERGI, I DLA WAS, I DLA CAŁEGO ŚWIATA.



TRUDNA KLASÓWKĘ.



Dobry nauczyciel może Wam też powiedzieć, że badania kosmiczne to nie fanaberia. I pokazać patelnię, mówiąc: „Na tej patelni nie przywiera jajecznicą, a czemu? Bo dzięki badaniom kosmicznym mamy teflon. Dzięki kosmicznym badaniom mamy też 16-dniową prognozę pogody. A kiedy wasi rodzice dowożą Was na zajęcia dzięki GPS, korzystacie z technologii kosmicznych.

TOMASZ BAGIŃSKI

polski animator



Taaak, Tomek Bagiński był samoukiem, ale powstrzymajcie nadzieje. Nasz wielki dziś animator klasówki jeszcze pisał w szkole. Nie zamykał jednak swoich marzeń w szkolnym tornistrze. W czasach licealnych zrobił swoją pierwszą animowaną reklamę na zlecenie właściciela sklepu komputerowego. A samoukiem został, jak dorósł, z musu. Jego spojrzenie na animację artystyczną nie znalazło wsparcia ani u profesorów łódzkiej filmówki, ani tych z ASP w Warszawie. Zdał zatem na architekturę na Politechnice Warszawskiej, lecz po trzech latach rzucił studia. Dla filmu.

Samodzielnie poznawał techniki i proces powstawania animacji komputerowej. Zaczytywał się w fachowych pismach i analizował animacje.

A potem stał się uznanym twórcą. Ta raaaam. To znaczy twórcą reklam. Było tak: Bagiński wygrał konkurs grafiki trójwymiarowej i od razu znalazł pracę w firmie Platige Image, której dzisiaj jest dyrektorem kreatywnym. Na początku robił reklamy i teledyski i duuużo się uczył. Ale to nic złego, kiedy człowiek wie, jak i po co się uczyć.

„Ustawione” szczęśliwie życie mogło naszego bohatera wchłonąć, gdyby nie determinacja w tworzeniu animacji artystycznej. Wynikiem pracy po godzinach była *Katedra*, film na podstawie opowiadania Jacka Dukaja. Zdobył nominację do Oscara w kategorii krótkich filmów animowanych.

Teraz dobra wiadomość (jak ktoś niecierpliwy):

Film *Katedra* trwa siedem minut.

Teraz dobra wiadomość (jak ktoś cierpliwy):

Bagiński pracował nad nim trzy lata. W napisach końcowych bardzo słusznie zaznaczono: „powstał dzięki wytrwałości i kreatywności twórcy”.

Sam Bagiński zaś tłumaczył: „Nie chciałem, by powstał film, który zobaczy pięć osób w studenckim klubie dyskusyjnym. Chciałem stworzyć coś, co dotrze do wielu ludzi, wielu ludzi zaciekawi”.



Ladym
użytkownik

23.10.2012, 08:03

Hej, możecie dać adres do filmu *Katedra*, bardzo chciałbym go zobaczyć. Nawet nie wiem, kim jest ten Tomek Bagiński, ale chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć. Jeśli ktoś zna, to proszę, dajcie adres do jego strony. Może są tam jakieś wywiady czy artykuły 😊.



Miecz
admin

23.10.2012, 18:37

Jakieś wywiady widziałem, znajdę, to prześlę. A film raczej tylko z p2p lub torrentów. Warto obejrzeć, animacja perfekcyjna.



Azymut
członek

23.10.2012, 18:45

Polak nominowany do Oscara, a ty mówisz, że go nie znasz??? Przecież on podjął się nowej ekranizacji *Wiedźmina* i słynie na całym świecie ze swoich krótkometrażowych filmów komputerowych??? Hej, chłopie, pobudka! 😊

MAMY JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ BARWNYCH I CIEKAWYCH HISTORII WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA. JESTEŚMY TAK POŁOŻENI NA GEOPOLITYCZNEJ MAPIE, ŻE CIĄGLE MUSIELIŚMY O COŚ WALCZYĆ. MOŻE TO ZABRZMI OKRUTNIE, ALE DLA KINA JEST TO COŚ BARDZO BARWNEGO I CHWYTLIWEGO, A CO DO TEJ PORY WYKORZYSTANO JEDYNIE, MOŻE W JAKICHŚ PIĘCIU PROCENTACH.



Tak mówił Tomek Bagiński, kiedy to w 2010 roku zrobił film *Animowana historia Polski*, który promował Polskę podczas EXPO 2010 w Szanghaju. Film trwa osiem minut, pracował nad nim raptem rok.

W październiku 2014 roku powstał nowy film Bagińskiego *Ambition*, o „sile, dzięki której ludzkość przekracza kolejne granice”. Zdjęcia do filmu były realizowane w niemal księżycowym krajobrazie Islandii, a główną rolę gra Aidan Gillen.

ZNAM! AIDAN GILLEN GRA W GRZE O TRON!



Pewnie jednak Tomek Bagiński na świecie znany jest głównie z *Wiedźmina*. BOWIEM...

ROBIĘ INTRO DO KONSOLOWEGO WIEDŹMINA 2: ZABÓJCÓW KRÓLÓW,
NO I ZWIASTUN WIEDŹMINA 3: DZIKI GOŃ - ZABUJĄC POTWORY.

A SŁYSZAŁEŚ O ZWIASTUNIE DO GRY CYBERPUNK
2077? W CIĄGU 11 DNI POŁY 7 MLN ODSEŃ!



Warto, by ci, którzy chcieliby iść w ślady naszego bohatera, wiedzieli, że „Animacje powstają strasznie długo. W tym czasie cały pomysł trzeba analizować wielokrotnie kadr po kadrze. To mniej sprawa radosnej improwizacji, a znacznie bardziej specyficznego wyrachowania, prowadzącego do tego, by wszystkie elementy filmu idealnie do siebie pasowały”. Tak, pewnie można tę wypowiedź Bagińskiego odebrać jako przestrożę dla nastawionych na szybki sukces!

A jeśli pytacie, co on tutaj, w Polsce, jeszcze robi, czemu nie siedzi w Los Angeles, to Wam Tomek Bagiński odpowiada:

NIE CZUJĘ TAKIEGO WEWNĘTRZNEGO PĘDU, BY KONIECZNIE, ZA WŚZELKĄ CENĘ, WYJEZDZIĆ NA ZACHÓD I TAM ZACZYNAĆ OD ZERA. TUTAJ PRACUJĘ JUŻ OD OŚMIU LAT, ZBUDOWAŁEM SWOJĄ POZYCJĘ, MAM WSPANIAŁY ZESPÓŁ NAPRAWDĘ REWELACYJNYCH GRAFIKÓW, NIE DAŁOBY SIĘ WZIĄĆ ICH WSZYSTKICH RAZEM ZE SOBĄ. NIE CHCIAŁBYM Z TEGO WSZYSTKIEGO REZYGNOWAĆ.



MIKOŁAJ KOPERNIK



„zagubiony w burzy”

To chyba nic dziwnego, że patronem naszych skromnych (na razie!) sukcesów kosmicznych jest Mikołaj Kopernik. (A także naszej wielkiej tradycji pieczenia pierników). Jest uznawany za jednego z tych ludzi, którzy „ruszyli Ziemię”. Aż dziw bierze, jak wielkie kontrowersje budził kilka wieków temu!

„Kopernik jest w błędzie! Dryfuje jak zagubiona łódź w odmętach oceanu”. Tak wołał jeszcze w XVII wieku Giovanni Riccioli, włoski duchowny i astronom. Przydzielając nazwy kraterom na Księżycu, umieścił Kopernika z dala od kraterów nazwanych dla uczczenia „prawdziwych uczonych”. Gdzieś na końcu (księżycowego) świata, przy szarej plamie zwanej Oceanem Burz. Tam znalazły miejsce kraterzy opisane nazwiskami wyznawców teorii heliocentrycznej (zapomniałeś, co to znaczy? Ups... Słońce jest w środku, planety biegają wokół niego).

Krater „Kopernik”, najwyraźniejszy, miał stać się symbolem zbłądzenia w burzy!

My, Polacy, mamy narodową skłonność do bronienia polskości naszego wielkiego astronoma – co jego samego trochę by zapewne zdziwiło, bo w XV wieku „polskość” znaczyła coś innego niż w wieku XX albo XXI. Przyszły astronom urodził się w rodzinie niemieckiej, w Królestwie Polskim. W królestwie, którego dynastia panująca przybyła z Litwy (Jagiellonowie), a poddani mówili różnymi językami. Kopernik nie czuł się ani Niemcem (w dzisiejszym znaczeniu tego słowa), ani Polakiem (w dzisiejszym znaczeniu tego słowa). Lojalność wobec Królestwa Polskiego była dla niego równie naturalna, jak dodawanie i odejmowanie. Urodził się i większość życia spędził w Prusach. Silnie był związany z tradycją miast pruskich – tych właśnie, które wydostały się z rąk Krzyżaków po trudnej (i 13-letniej) wojnie z zakonem krzyżackim. Ich mieszkańcy czuli się częścią Polski.



Kraków przyciągnął młodego Kopernika wykładowcami matematyki. Kopernik zetknął się z Wojciechem z Brudzewa, astronomem, który wątpił w słuszność systemu geocentrycznego (to ten system, który zakładał, że Ziemia jest w środku, a planety i Słońce biegają dookoła; chyba pamiętasz?). Wojciech z Brudzewa jednak nie wyciągał wniosków do końca, nie stworzył własnej teorii.

Naukowcom, czego dowodzą liczne przykłady, przydają się wujkowie. W przypadku Kopernika mówimy o wuju jak najbardziej autentycznym – Łukaszu, który doprowadził do tego, że Mikołaj podjął studia prawnicze na uniwersytecie w Bolonii. Przy okazji młody student z Polski został bliskim współpracownikiem astronoma Dominika Marii Novary. Po drodze odbywał praktykę prawniczą w kancelarii papieskiej, studiował medycynę i został sekretarzem Billa Gatesa. Uwaga, żart. Powrócił do kraju i został sekretarzem i lekarzem swojego wuja, biskupa.

Po raz ostatni w dziejach zakon krzyżacki dał o sobie znać zbrojnie w latach 1519–1521. Dało to Kopernikowi okazję do wykazania jeszcze jednego talentu – tak dobrze wzmocnił fortyfikacje zamku w Olsztynie, że wojska krzyżackie na sam ich widok zrezygnowały z oblężenia miasta.

Gdyby nie okazał się genialnym astronomem, przeszedłby do historii jako twórca przełomowego traktatu o pieniądzu. Kopernik zauważył, że jeśli na rynku istnieją dwa rodzaje

pieniądza, z których jeden postrzegany jest jako lepszy, czyli mający np. więcej srebra albo cieszący się większym zaufaniem, to będzie on gromadzony. A na rynku pozostanie głównie ten gorszy, co można opisać regułą: „Pieniądz gorszy wypiera pieniądz lepszy”. To prawo ekonomii znane jest jako prawo Kopernika-Greshama.

Aha, czy napisaliśmy już, że tłumaczył wiersze z greki na łacinę?



Bushi
użytkownik

12.05.2010 o 18:28 Bushi napisał(a):

Chodzi mi o opis człowieka renesansu, np. człowiek renesansu potrafi to i to, nie chodzi mi o opis człowieka Renes. np. Michał Anioł. Z góry dziękuję.



Autorzy 2.0
admin

12.05.2010 o 18:33 Autorzy 2.0 napisał(a):

Bierz Kopernika. Przy nim nawet Leonardo da Vinci wysiada.



Blocked
użytkownik

12.05.2010 o 18:45 Blocked napisał(a):

Człowiek renesansu jest wszechstronnie utalentowany, a raczej mocno myślący. Którego interesował otaczający go świat. (...) Wszystkie nowe i niezrozumiałe zjawiska poznawał i wyciągał z tego wnioski, które wykorzystywał dla dobra ludzkości.



Dominikka85
użytkownik

12.05.2010 o 18:50 Dominikka85 napisał(a):

Był to człowiek bardzo inteligentny 😊.



Autorzy 2.0
admin

12.05.2010 o 19:12 Lusja napisał(a):

I nie lenił się.

Mimo różnych zajęć Kopernik – który prawdopodobnie organizowałby dzisiaj dobre płatne szkolenia z zarządzania czasem – prowadził badania astronomiczne. Kiedy od kapituły warmińskiej otrzymał dom we Fromborku, dokupił basztę. I działał.

Pierwsze wydanie przełomowej pracy *De revolutionibus orbium coelestium* ukazało się w 1543 roku w Norymberdze w nakładzie 400 egzemplarzy. Teoria, że Ziemia jest planetą i podobnie jak pozostałe planety obiega Słońce po orbicie kołistej, nie została przychylnie przyjęta ani przez naukowców, ani przez Kościół. W 1616 roku dzieło Kopernika umieszczono nawet na indeksie ksiąg zakazanych.

Doświadczalne potwierdzenie ruchu orbitalnego Ziemi uzyskano dopiero w latach 20. XVIII wieku.



A teraz plotki.

Gdyby nie kradzież, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdzie znajduje się miejsce pochówku Kopernika. Już przed wiekami podważono autentyczność jego grobu we Fromborku. Pierwsze poszukiwania tego prawdziwego podjęło Warszawskie Towarzystwo Naukowe w roku 1802. Grobu Kopernika szukali też podczas II wojny światowej Niemcy (ciekawe po co? 😊).

W 2004 roku zespół archeologów pod dowództwem prof. Jerzego Gąssowskiego rozpoczął nową fazę cokolwiek makabrycznych poszukiwań.



W 2004 i 2005 roku odkrywano w katedrze we Fromborku coraz to nowsze szkielety. (Dlaczego Frombork nie miały być miejscem kolejnego filmu z serii *Mumia powraca?*). Jeden z niekompletnych szkieletów to, jak ogłosili uczeni, pozostałości Kopernika. Chyba. Tak na... 97% pewności.

Naukowcy chcieli uzyskać 100-procentową pewność dzięki zbadaniu DNA. Tylko z czym porównać materiał pobrany z grobowca? Łapczywie, lecz bezskutecznie rozglądano się za miejscami pochówku krewnych astronoma.

A jednak... W Uppsali (Szwecja), w tamtejszym muzeum, znajdowała się cenna księga, która należała do Kopernika, a którą Szwedzi zrabowali w czasie potopu szwedzkiego w XVII wieku. Na szczęście! Bo przeleżała sobie bezpiecznie kilka wieków, a między jej kartami naukowcy odnaleźli... kilka włosów. Czyżby samego Kopernika? Pobrano z nich materiał genetyczny i porównano z materiałem z trumny. Bingo. Mamy już pewność, że szczątki Kopernika spoczywają we Fromborku, a nasz wielki uczyony wyglądał tak:



Rekonstrukcja podrap. Dariusz Zajdel CLKP / AH w Puławku ©



Rekonstrukcja podrap. Dariusz Zajdel CLKP / AH w Puławku ©

JAN HEWELIUSZ

piwo i konstelacje



Był rok 1683, rok zwycięstwa króla Jana III Sobieskiego nad potęgą turecką pod Wiedniem. Pewien astronom mieszkający w Gdańsku odkrył nową konstelację gwiazdną złożoną z siedmiu gwiazd. Nazwał ją *Scutum Sobiescianum* – Tarcza Sobieskiego. Tarcza znajduje się po dziś dzień pomiędzy Orłem, Strzelcem, Antinousem i Wężownikiem.

Tym astronomem-patriotą był Jan Heweliusz. Pochodził z zamożnej, niemieckojęzycznej, luterkańskiej rodziny browarników (wytwórców piwa). Od dzieciństwa miał, na szczęście, większy pociąg do majsterkowania niż do wyrobów swojej rodziny. Zazwyczaj chłopcy

lubiący majsterkować składają małe samolociki albo bawią się kolejką, aliści w XVII wieku było to jeszcze niemożliwe. Janek zaczął z rozpaczy składać instrumenty astronomiczne.

„Profesjonalnie” zainteresował się astronomią w Gdańskim Gimnazjum Akademickim. Jako student wiele podróżował po Europie i poznawał wybitnych przedstawicieli nauki. Po powrocie z podróży zajął się jednak piwowarstwem. Było to przecież podstawowe źródło utrzymania, a także, co nie mniej ważne, poważania w mieście. Kosmos nie budził takiego wrażenia jak piwo jopejskie – specjalność Heweliuszy.

Heweliusz, jak się wydaje, był pracoholikiem. Ani zajęcia w radzie miasta (zajmował się szpitalnictwem), ani życie towarzyskie, które zmuszony był, jako znany gdańszczanin, prowadzić, ani młoda żona (zgadnijcie, co wniosła w posagu? Nowy browar!) nie oderwały go od systematycznych teleskopowych obserwacji Księżyca.



W wydanej w 1647 roku *Selenografii* (*Opisanie Księżyca*; *selen* to po grecku Księżyc) przedstawił dokładne mapy Księżyca. *Selenografia* cieszyła się uznaniem w Europie przez następne 200 lat. Autor wysyłał do niektórych ówczesnych VIP-ów ręcznie kolorowane egzemplarze. Czytelnicy mogli się z nich uczyć nazw kraterów na Księżycu, tych samych nazw zresztą, których używamy dzisiaj. Przy pomocy swoich teleskopów, z których największy miał 4 m długości i dawał 50-krotne powiększenie, Heweliusz uaktualniał mapy Księżyca, obalając dawne poglądy i torując drogę późniejszym badaniom.



Nazwa nadana przez uczonego pochodzi od gór Apeninów we Włoszech. Nie wiemy, czemu nasz wielki uczoney tak nazwał góry na Księżycu, a nie np. Tatry.

Obserwacje prowadził w nowoczesnym obserwatorium, założonym na strychu trzech kamienic, które do niego należały. Jego laboratorium stało się najlepiej wyposażonym w Europie. Rewelacją był 39-metrowy teleskop, największy w Europie.

Odkrył cztery komety. Jako pierwszy z astronomów zwrócił uwagę na to, że komety nie poruszają się po liniach prostych, jak przypuszczał na początku XVII wieku sam wielki Kepler, lecz po zakrzywionych torach.



Opisy swoich instrumentów Heweliusz umieścił w dziele *Machina niebieska*.



Uwaga, skandal! Otóż dwaj astronomowie z Royal Society (czyli angielskiego, prestiżowego królewskiego towarzystwa naukowego) zakwestionowali metodykę obserwacji Heweliusza. Uważali, że to ich nowoczesne lunety wyposażone w mikrometr gwarantują precyzyjniejsze obserwacje od tych Heweliuszowskich. Zdecydowanie uraziło to dumę uczonego gdańszczanina. Na początku maja 1679 roku do Gdańska przybył młody, ale już znany astronom Edmond Halley (nie długo potem będzie sławą, dzięki odkryciu komety, która została już na wieki kometą Halleya). Przez ponad miesiąc prowadził obserwacje, posługując się zarówno instrumentami Heweliusza, jak i swoimi. No cóż, dokładność pomiarów Heweliusza była taka sama jak pomiarów Halleya, co Anglik przekazał Royal Society. I po co to było?



Kilka miesięcy później w wyniku pożaru zniszczeniu uległ właściwie cały dobytek Heweliusza: domy, obserwatorium z instrumentami, pracownia, drukarnia!

Przez następnych kilka lat odbudowywał i odbudowywał, dzięki własnym pieniądzą, ale także dzięki wsparciu m.in. Ludwika XIV, króla Francji, oraz Jana III Sobieskiego. Ten ostatni przyznał też astronomowi przywilej swobodnej sprzedaży piwa poza obrębem miasta.

Legenda żyje. Niedawno mieszkańcy Gdańska w plebiscycie na Gdańszczanina 1000-lecia dali Heweliuszowi pierwsze miejsce.



I



II



III

NASI W POWIETRZU



mała historia dużych maszyn latających

Uczony włoski, ale Polak z wyboru (trochę jak ziemniak, prawda? Taki polski, a przecież z Włoch), Tytus Liwiusz Boratyni, był ojcem chrzestnym naszej przygody z lataniem. Przygody zaczętej w XVII wieku.



Ożeniony z Polką, zajmował się geodezją, kartografią, matematyką, fizyką. Był mincerzem, metrologiem, wynalazcą, budowniczym. Konstruował teleskopy, a także soczewki dla gdańskiego astronoma Jana Heweliusza. Jako nadworny architekt Władysława IV zbudował Pałac Kazimierzowski (dzisiaj mają tam siedzibę władze Uniwersytetu Warszawskiego). Nie ma pewnych informacji, że skakał na *bungee*, ale w jego przypadku wszystko jest chyba możliwe.

Jak wielu marzył o maszynie latającej, ale jak niewiele próbował ją zbudować. Zaczął

skromnie – od prób stworzenia skrzydeł do latania. Niezrażony niepowodzeniem zajął się realizacją ornitoptera. No, to dopiero był odlot: dwumiejscowy płatowiec o kształcie smoka! W 1648 roku Boratyni zademonstrował królowi model smoka. Napędzany za pomocą mechanizmu z kołami, dźwigniami i sprężynami prawie uniósł się w powietrzu. Pasażerem ornitoptera był kot, jedyny chyba z obecnych podczas pokazu, który ucieszył się, że maszyna nie oderwała się od ziemi.



Polacy należą dzisiaj do elity sportu szybowcowego, są mistrzami Europy i świata w klasie

18-metrowej i 15-metrowej (Zbigniew Nieradka i Sebastian Kawa, gratulujemy). Od czasów nie latającego smoka polska myśl techniczna zrobiła, ma się rozumieć, spory postęp. A zaczęło się to wszystko od Czesława Tańskiego, który już jako dziecko...



Zaczynał przygodę z lataniem bardzo prosto, robiąc dla siebie skrzydła z indyjskich piór. Z prób latania na nich zostały tylko poobcierane kolana po nieudanym skoku z dachu stodoły. Jakże przedziwne bywają ludzkie reakcje na rozczarowanie! Tański postawił na swoją drugą pasję, malarstwo. Jak wielu Polaków, pragnących uczyć się wtedy malarstwa, wyjechał do Monachium, do Akademii Sztuk Pięknych (1883 rok), korzystając z prywatnego stypendium.

Ale... Kiedy wykonywał zamówione portrety koni pełnej krwi w Janowie Podlaskim, wróciły młodzieńcze marzenia. Mając pewne źródło utrzymania, zajął się budową maszyny latającej!

o NIE, ZARAZ SIĘ ZACZNIE!



Najpierw zbudował model samolotu jednopłatowego z napędem gumowym. Wyglądało to mniej więcej tak: skręcone „na maksa” sznurki gumowe poruszają dwa śmigła, a tzw. statecznik poziomy umożliwia regulowanie toru lotu. O dziwo, mechanizm latał poprawnie, a nawet był w stanie machnąć nad ziemią okrągłutkie koło. Był to pierwszy latający model, jaki ukazał się na ziemiach polskich. Klask, klask, klask...

W 1894 roku, korzystając z pomocy miejscowego stolarza, zbudował skrzydłowiec (dziś powiemy: szybowiec) Lotnia. Stał się najlepszym w Europie naprawiaczem Lotni.

AUTOR CHYBA PRÓBUJE NIE POWIEDZIEĆ, ŻE PRÓBY
LOTNI Z LATANIEM ZAKOŃCZYŁY SIĘ PORĄŻKĄ.



Zawziętość jest jednak cechą każdego prawdziwego konstruktora. Trzecia wersja Lotni podczas kolejnej próby wykonała piękny lot ślizgowy nad nadbużańskimi łąkami koło Janowa Podlaskiego. Wylądowała po ok. 10 metrach.

Tak jak sport szybowcowy jest dzisiaj kosztowny, tak też pasja budowy szybowców nadwerżyła sytuację finansową Tańskiego. Musiał intensywnie zająć się malarstwem.



Jakiś czas później Tański założył w Warszawie Kółko Awiacyjne, które grupowało sympatyków budowy maszyn latających. Na jakiś czas zawiesił prace nad szybowcami, zajął się modelami śmigłowców, które wznosiły(by) się prawie prostopadle w powietrze. No cóż, podejmowane próby ze śmigłowcem nie były zadowalające. Śmigłowiec pozostał eksponatem demonstrowanym na wystawach, ale nie wszedł do produkcji. Prawdę mówiąc, również samolot Łąka, zbudowany kilkanaście lat po Lotni, mimo ciekawych rozwiązań (zmienny kąt nachylenia skrzydeł), niechętnie fruwał po niebie.

O ile jednak Tański nie doczekał się pełnego sukcesu konstrukcyjnego, to okazał się skutecznym popularyzatorem lotnictwa. Pisał artykuły, wygłaszał odczyty, a w 1909 roku zorganizował pierwszą wystawę lotniczą na ziemiach polskich (w gmachu Stowarzyszenia Techników w Warszawie). Był jedynym wystawcą... Pokazał cały swój dorobek, demonstrował niektóre modele, przedstawił barwny szkic projektu samolotu.

Zaraził pokolenie Polaków i Polek pasją lotniczą.

SPITFIRE GIRLS





Dzisiaj wiele organizacji kobiecych zabiega z mniejszym lub większym powodzeniem o wyrównanie płac z mężczyznami, by pani, zajmując to samo stanowisko co pan, otrzymywała takie samo wynagrodzenie. A oto wzorcowa, równościowa sytuacja, wprost z dziejów polskiego (i brytyjskiego) lotnictwa.

Otóż podczas II wojny światowej w Wielkiej Brytanii w ATA (Air Transport Auxiliary) kobietom przyznano takie same stopnie wojskowe. I po raz pierwszy w historii kobiety w instytucji podlegającej brytyjskiemu rządowi otrzymywały wynagrodzenie w takiej samej wysokości jak mężczyźni. (Amerykanki w tym czasie zarabiały ok. 35% mniej niż mężczyźni).

Wśród kobiet, które latały w ATA, były trzy Polki. Stefania Wojtulanis, Anna Leska i Jadwiga Piłsudska (tak, tak, córka marszałka Józefa Piłsudskiego). Przewoziły pocztę, lekarstwa, transportowały lekkie samoloty szkoleniowe. Z czasem, latając na trasach między fabrykami a lotniskami bojowymi, zaczęły pilotować wszystkie typy samolotów bojowych, z olbrzymimi czterosilnikowymi Latającymi Fortecami włącznie. Były to zadania niewdzięczne, po pierwsze dlatego, że nie aż tak chwalebne, jak bojowe loty nad Niemcami. Po drugie dlatego, że na pilotów (i pilotki) narzucano wiele ograniczeń. Nie wolno było np. latać w chmurach (w Anglii! Gdzie chmur jest tyle, ile w Polsce podgrzybków). A to dlatego, że obsługa dział obrony przeciwlotniczej strzelała odruchowo do samolotów kryjących się w chmurach, bo przecież lotnictwo mogło się okazać niemieckie. Nie wolno było używać radia. Zakaz totalny dotyczył robienia figur, nawet niewinnej „beczki”. Ale najgorsze było odprowadzanie na złomowisko samolotów, które nie nadawały się już do użytku. Anglicy, chyba dlatego, że dbają o reputację narodu z dziwnym poczuciem humoru, a może

z oszczędności czy skąpstwa, uważali, że takie samoloty należy odstawić, lecąc nimi na złomowisko... Nasze dziewczyny pilotowały również samoloty z dziurami po pociskach, uszkodzone i tak dalej do zakładów naprawczych.



Anna Leska i Stefania Wojtulanis we wrześniu 1939 roku były pilotkami Eskadry Sztabowej Naczelnego Dowódcy Lotnictwa. Wykonywały zadania łącznikowe. Za lot do Dębłina 3 września 1939 roku i lądowanie pod ostrzałem Stefania Wojtulanis została przedstawiona do odznaczenia.

Po 17 września, kiedy to armia Związku Radzieckiego dokonała agresji na wschodnie ziemie Polski, obie pilotki przedostały się do Rumunii, Francji, wreszcie do Wielkiej Brytanii, która po klęsce Francji samotnie stawiała opór Hitlerowi.

W Anglii już od początku 1941 roku zostają pierwszymi cudzoziemkami w ATA. Jadwiga Piłsudska spotkała się z odmową, ale ponieważ upór odziedziczyła po ojcu, rok później latała już nad angielskim niebem. Latanie w warunkach wojennych, jak się zdaje, hartuje. Anna Leska żyła 88 lat, Stefania Wojtulanis 93, a Jadwiga Piłsudska 94.



@Nika 18 sierpnia 2012, 18:13

Hej, dziewczyno ! Tak się zastanawiałam, kim wy chciałybyście zostać w przyszłości?



@Czupurek 18 sierpnia 2012, 18:19

Chciałabym być pilotem jak mój ojciec. Nigdy nie dane mi było tego spróbować...



@Fajna 18 sierpnia 2012, 18:38

Zdecydowanie pilot cywilny. 😊



@Krecik 18 sierpnia 2012, 21:21

Przez jeden dzień chciałabym być pilotem odrzutowca. 😊



@Autor 2.0 18 sierpnia 2012, 21:24

Ja też chciałbym być pilotem. 😊

WANDA RUTKIEWICZ

tak wysoko, jak papież



Wandę Rutkiewicz zafascynowała górską wspinaczka. Po kursie taternickim na Hali

Gąsienicowej podjęła wspinaczkę na szczyty Tatr. Jednak pierwszą młodzieńczą miłością Wandy była piłka siatkowa. Mało kto pamięta, że Rutkiewicz była wybijającą się siatkarką, w 1964 roku była nawet w szerokiej kadrze na olimpiadę w Tokio. Jako siatkarka brała jeszcze udział w uniwersjadzie w Budapeszcie, ale wolny czas spędzała już na zdobywaniu szczytów w Alpach.

Po Alpach przyszła kolej na wspinaczkę w górach Pamir, Hindukusz. To już naprawdę poważna sprawa. Dość szybko zaczęła wspinać się w grupach kobiecych, była zdecydowaną rzeczniczką i realizatorką wspinaczkowej samodzielności kobiet. Bo, jak twierdziła, jeżeli w grupie są mężczyźni, kobieta „odruchowo liczy na wsparcie męskiego ramienia”.

Dobre powody aby kobiety NIE ZOSTAŁY himalaistkami

- Zimno, wieje i do domu daleko
- Ogromny wysiłek fizyczny
- Psychiczna odporność
- To taki męski sport

Dobre powody aby kobiety ZOSTAŁY himalaistkami

- Zimno, wieje i do domu daleko
- Ogromny wysiłek fizyczny
- Psychiczna odporność
- To taki męski sport

Razem z Anną Czerwińską, Ireną Kęsą i Krystyną Palmowską dokonała pierwszego zimowego przejścia północnej ściany Matterhornu w Alpach Zachodnich. Zorganizowała i kierowała wyprawą kobiecą na Gaszerbrumy. A Gaszerbrumy to szczyty gór Karakorum (pogranicze Chin i Pakistanu). Wyprawą na Gaszerbrum III osiągnęła rekord wysokości pierwszego wejścia z udziałem kobiet.

Wanda Rutkiewicz w latach 70. szła przez najwyższe góry jak burza... 16 października 1978 roku jako pierwsza Polka, pierwsza Europejka i trzecia na świecie kobieta stanęła na szczycie Mount Everest (najwyższy szczyt Ziemi; inna nazwa: Czomolungma). Los (?) sprawił, że wybór Polaka na papieża dokonał się tego samego dnia – 16 października 1978

roku. Podczas spotkania z Janem Pawłem II Wanda Rutkiewicz podarowała mu kamyk z Czomolungmy. Papież zażartował: „Dobry Bóg tak chciał, że tego samego dnia weszliśmy tak wysoko”.

Kiedy się nie wspinała, popularyzowała sport wspinaczkowy, wygłaszając prelekcje i robiąc filmy o wyprawach wysokogórskich. No i oczywiście szukała sponsorów wypraw, bo alpinizm, himalaizm i sponsoring to jedna rodzina. Ale bez wspinania nie mogła już żyć. Po wypadku, kiedy przypadkiem potracona przez alpinistę spadła kilka metrów w dół i złamała nogę, Rutkiewicz straciła pełną sprawność. Złamana kość udowa źle się zrastała, rehabilitacja nie powiodła się w pełni i w efekcie, po powrocie z kolejnej wyprawy, doszło do samorzutnego złamania kości. Właściwie tutaj historia alpinistki mogłaby się skończyć, gdyby jej bohaterką nie była Wanda Rutkiewicz.

Otóż odnajdujemy ją wędrującą o kulach po lodowcu Baltoro, podczas wyprawy na K2.



Wyprawa, której uczestniczka śmigła na kulach, nie powiodła się, chociaż przyznać trzeba, że Rutkiewicz dała światu pokaz determinacji niezwyklej nawet w środowisku himalaistów.

Latem 1986 roku jako pierwsza kobieta na świecie i pierwsza Polka stanęła na K2,

wymarzonym ośmiotysięczniku. (W historii himalaizmu to był tragiczny sezon, spośród 27 osób wspinających się zginęło 13). W następnych latach pokonywała kolejne. Próbowała zainicjować wyprawę nazwaną „Karawaną do marzeń”, której celem byłoby zdobycie podczas 12-16 miesięcznej wyprawy pozostałych jej 8 szczytów „Korony Himalajów”.



Rutkiewicz chciała wykorzystać raz zdobytą aklimatyzację do zdobywania kolejnych szczytów *non-stop*. Mimo szczegółowego planu i dokładnego kalendarza plan okazał się nierealny.

W 1991 roku weszła na Annapurnę – ósmy z czternastu ośmiotysięczników, który Rutkiewicz zdobyła. Było to jej drugie samotne wejście na szczyt.

Niezdobyty, mimo kilku prób, pozostawał Kanczendzonga (8586 m n.p.m.). W 1992 roku podjęła jeszcze jedną wyprawę, dołączając do zespołu meksykańskiego pod kierownictwem Carlosa Carsolio, który zresztą himalaizmu uczył się, uczestnicząc w polskich wyprawach. Zginęła podczas podejścia na szczyt, jej ciała nigdy nie odnaleziono.

W środowisku wspinaczy uznawana jest za jedną z najwybitniejszych kobiet w historii himalaizmu.

JANINA OCHOJSKA



serce i stal

Takie kobiety jak Wanda Rutkiewicz wyrabiają nam powoli opinię narodu dzielnych kobiet – i chyba nikt na tym polu nie odznaczył się w równym stopniu, co Janina Ochojska. Chora od dziecka na polio (choroba Heinego-Medina), przeszła ponad 50 operacji, nie wykazuje troski o siebie (i to akurat szkoda), za to pośpiech i energię w działaniu na rzecz innych. Janina Ochojska ma opinię kobiety bardzo czynnej, wymagającej, a zarazem skłonnej do mówienia prawdy – nie zawsze miłej. Przede wszystkim uświadomiła Polakom, że ich położenie jest całkiem dobre w porównaniu z położeniem milionów innych ludzi dotkniętych wojną, kataklizmami, a czasem „tylko” fatalnymi rządami lub biedą. W wielu takich miejscach (np. w Bośni, Czeczenii, Afganistanie, Libii) była osobiście.

„Przecież mam stalowy kręgosłup, który jest usztywniony całkowicie, że nawet nie mogę się zgarbić” – tak odpowiedziała kiedyś Janina Ochojska na pytanie o to, dlaczego nie roztkliwia się nad sobą.

Na początku lat 80. XX wieku pojechała do Francji na skomplikowaną operację, w Polsce jeszcze takich nie przeprowadzano. Zaczęła działać jako wolontariuszka w ramach organizacji EquiLibre, która zajmowała się wówczas niesieniem pomocy medycznej i żywnościowej dla szpitali i ośrodków chorych dzieci w Polsce. Niejako przy okazji związała się z opozycją demokratyczną przeciwko komunizmowi, przewoziła nawet nielegalne druki i gazetki Solidarności. Jak twierdzą jej przyjaciele, po prostu lubiła ryzyko.

W 1989 roku, po upadku komunizmu, założyła polski oddział EquiLibre. W 1994 roku przekształciła go w Polską Akcję Humanitarną, której została prezesem.

Niedługo później udzieliła takiego oto wywiadu:

Studio Puls młodych: Bardzo cieszymy się, że zechciała Pani do nas przyjść, że znalazła dla nas czas. Czyżby uważała Pani, że warto zabiegać o pomoc młodych?

Ochojska: Dziękuję za zaproszenie, to prawda, że jestem w końcu przygotowań konwoju z pomocą humanitarną do Czeczenii, więc czasu bardzo brak, ale tak, pomyślałam, że warto będzie tutaj wpaść. Bo wielu ludzi, którym się poszczęściło w życiu, ma obowiązek się dzielić. Ale dobrze byłoby, byś tę świadomość budował od wczesnej młodości. Dziel się!

A po tym optymistycznym wstępie powiedziała do młodych tak: „Mnie chodzi o to, by budować w sobie tę ideę dzielenia się mądrze, odpowiedzialnie. Czyli by nie poprzestawać na dawaniu 2 zł rumuńskiemu dziecku – i cieszyć się, że jesteśmy szlachetni! To tak naprawdę żaden koszt, takie usypianie sumienia. Dzielić się, to znaczy zainteresować się, przystanąć, zapytać, zobaczyć!”.

To pewno nie ma się co dziwić, że podczas audycji rozdzwoniły się telefony:

Czy to choroba nauczyła Panią tego świadomego dzielenia się?

Całe dzieciństwo spędziłam w szpitalach i sanatoriach, nauczyłam się chodzić, kiedy miałam pięć lat, i potem, po każdej operacji, trzeba było tę umiejętność podtrzymywać, nauczyłam się, że nie można płakać, bo to obciach, bo inni mają gorzej.



W jednym ze szpitali była dziewczyna, która nie mogła chodzić, a chodziła do parku, po korytarzach, tylko że... na rękach. To było to, nie poddać się.



Czy przykładem dzielenia się jest akcja „Pajacyk”?

Tak, PAH finansuje obiady w szkołach w ramach akcji „Pajacyk”, z jednym podstawowym zastrzeżeniem – obiady dla wszystkich dzieci mają być takie same. Biedne dziecko nie może dostać ziemniaków z surówką, a bogatsze kotleta. Zawsze kiedy dochodzi do prób takiego naznaczania biedaków, interweniujemy.



W naszej szkole zbieraliśmy zabawki dla sąsiedniego domu dziecka, bardzo fajnie to wspominam, myślę, że dzieci się też ucieszyły.

Być może dzieci się ucieszyły z zabawek, ale może to były kolejne zabawki, może im potrzebne były... np. blok i kredki? Trzeba najpierw pójść, zobaczyć, zapytać.



W naszej szkole zbieraliśmy zabawki dla sąsiedniego domu dziecka, bardzo fajnie to wspominam, myślę, że dzieci się też ucieszyły.

Być może dzieci się ucieszyły z zabawek, ale może to były kolejne zabawki, może im potrzebne były... np. blok i kredki? Trzeba najpierw pójść, zobaczyć, zapytać.



Sudan to dla mnie ogromne zadanie, bo tam jest życie, jeśli jest woda. Zawsze najpierw rozpoznajemy teren, co i komu jest potrzebne, zanim ruszymy z pomocą.



Za każdym razem będziesz dawał coś innego, ale nigdy nie jest tak, że nie możesz dać nic.

To teraz jeszcze kilka opowieści o tych, którzy starali się coś dać.

PIŁSUDSKI

—
ale nie Józef



To właściwie nic takiego dziwnego, że troje dorosłych wnuczków spotyka się, aby wspominać dziadka. Nie jest nawet niczym bardzo szczególnym, że nic o swoim dziadku nie wiedzą. Rzadko jednak zdarza się, aby wnuczkami Polaka byli mieszkający w Japonii Ajnowie (?!). Mało tego – ich dziadkiem był brat polskiej narodowej legendy, Józefa Piłsudskiego.

Kazuyasu Kimura (wnuczek) oraz Hitomi i NamikoTakahashi (wnuczki) wzięli udział

w zorganizowanym w 1991 roku na Sachalinie seminarium o działalności swojego dziadka Bronisława Piłsudskiego. Dlaczego ich rodzice nie dzielili się z nimi wiedzą na temat ciekawego dziadka? Pozostaje zgadywać. W Japonii lud Ajnów poddawany był dyskryminacji – być może uznali, że Ajnowie mający na dodatek przodka Europejczyka, to już za dużo „szczęścia” naraz, za bardzo rzuciliby się w oczy władzy.

Bronisław Piłsudski podzielił los wielu Polaków walczących z zaborcą rosyjskim: podróżował w egzotyczne strony świata. W 1887 roku, skuty łańcuchami, wszedł na pokład statku „Niżnyj Nowogorod”. Został skazany na 15 lat katorgi na Sachalinie (obóz dla najgroźniejszych przestępców).



I tak uważano skazańca za szczęściarza, bo wyrok został złagodzony (możemy nawet powiedzieć, że znacznie, skoro pierwszy brzmiał: kara śmierci). Bronisław, student Wydziału Prawa uniwersytetu w Petersburgu, brał udział w przygotowaniu zamachu na cara Aleksandra III. Warto pamiętać, że poprzedni car, Aleksander II, kilka lat wcześniej padł ofiarą eksplozji bomby uruchomionej przez Polaka-anarchistę.

Na Sachalinie Piłsudski, mając wykształcenie, trafił do kancelarii więziennej, w której poznał rosyjskiego etnografa Lwa Sternberga. Pod jego wpływem zainteresował się Bronisław badaniami kultury ludności tubylczej. Nuda i pustka życia zesłańca zamieniły się w pasję! Jak dziwne potrafią być ludzkie losy!



Niedoszły zamachowiec zbierał stroje mieszkańców Sachalinu, fotografował, opracowywał słowniki języków tubylców. Działalność skazańca zwróciła uwagę placówek naukowych w Petersburgu i Władywostoku. Piłsudskiego objęto amnestią, pod warunkiem że osiedli się na Syberii.

Zatrudniony przez Cesarską Akademię Nauk w Petersburgu, dostał wkrótce propozycję ponownego wyjazdu na Sachalin – tym razem w misji etnograficznej i bez kajdan. Miał nagrywać pieśni i języki tamtejszych ludów. Akademia wyposażyła go m.in. w fonograf Edisona, prototyp magnetofonu. 😊

Wszystko układało się jak w filmie! A, jak wiadomo, film potrzebuje romansu. Proszę, oto romans: poznał piękną Chuhsammę, bratanicę wodza ludu Ajnów. Poślubił ją według miejscowych zwyczajów. Chuhsamma urodziła mu syna Sukezo według zwyczajów powszechnie występujących na świecie. Biorąc pod uwagę, że żaden z braci Piłsudskich nie miał innego męskiego potomka, to mieszkający w Japonii Kazuyasu Kimura jest ostatnim potomkiem po mieczu (od strony ojca) rodziny Piłsudskich! Gratulujemy.

A TUTAJ TWÓJ WUJEK Z PIERWSZĄ
KADROWĄ WYRUSZA Z KRAKOWA...
O, A TU PĘDZIMY NA BOLSZEWIKÓW...



Nigdy nie doszło do spotkania Józefa Piłsudskiego z rodziną brata. Jeżeli nakręcimy kiedyś film o Bronisławie Piłsudskim, trzeba jednak będzie prawdę nieco podkoloryzować. Teoretycznie mogło bowiem dojść do takiego spotkania w 1904 roku. Józef Piłsudski przybył do Tokio i złożył w japońskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych memoriał, w którym uzasadniał potrzebę współpracy Japonii z polskim podziemnym ruchem socjalistycznym.

Japonia znaleźć może w Polsce wyćwiczonego w walce z Rosją sojusznika, który może najwięcej sprawić kłopotów krajowi, Polska zaś może znaleźć w Japonii oparcie i pomoc w osiągnięciu tych planów.

W tym samym czasie Bronisław przebywał na japońskiej wyspie Hokkaido. Był pochłonięty pracą, obserwował zwyczaje tamtejszych Ajnów oraz proces ich przymusowej

japonizacji przez państwo. A że był Polakiem porządnym, całym sercem opowiedział się po stronie słabszych, czyli Ajnów. Dzięki niemu powstały unikalne nagrania zarejestrowane na 100 walcach woskowych!

Dzisiaj technologia poszła już nieco do przodu i walcem woskowym można co najwyżej gładzić papier, ale nagrania Piłsudskiego odczytali pod koniec XX wieku bystry inżynierowie z koncernu Sony za pomocą laserowego czytnika. W ten sposób ludzkość, jeżeli ma tylko ochotę, może odsłuchać najstarsze zapisane dźwięki (pieśni i mowę) ginącej kultury Ajnów.

A teraz dotkniemy mrocznej strony tej historii. A może tylko zwykłej, ludzkiej? W 1905 roku Bronisław Piłsudski niespodziewanie postanowił wyjechać z Japonii do Europy (ale nie do domu, bo obejmował Piłsudskiego carski zakaz). Chciał zabrać Chuhsammę i dzieci, ale nie otrzymała zgody swojego ojca. Więc... nie zabrał ani żony, ani synka. I nigdy już nie zobaczył urodzonej po swoim wyjeździe córeczki. Czas na łzy.

W Krakowie (wówczas austriackim), potem w Zakopanem cały czas prowadził swoje badania etnograficzne. Po uporządkowaniu licznych notatek na temat Ajnów zabrał się za rejestrowanie zwyczajów i pieśni mieszkańców Podhala. Z jego inicjatywy została powołana Sekcja Ludoznawcza Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

W czasie I wojny światowej nie przyłączył się do brata, wręcz przeciwnie, wspierał jego głównego antagonistę – Romana Dmowskiego. Nie uważacie, że losy Bronisława i Józefa Piłsudskich świetnie nadają się na serial *Rodzina. Historia z lodu*?

W maju 1918 roku Bronisław utopił się w Sekwanie. Koniec historii.

CHCEMY JESZCZE O AJNACH. I O CHUHSAMMIE!



Bronisław Piłsudski naprawdę ma niezwykle zasługi dla Ajnów (pomijając materiał genetyczny, którym się podzielił). Przetłumaczył ponad 10 tys. słów z języka ajnuskiego (a po kilka tysięcy z języków gilackiego, orockiego i Mangunów). Wykonał ok. 300 fotografii, utrwalając głównie typy mieszkających tam ludzi. W swej pracy posługiwał się kamerą filmową! Spisał wiele podań i legend. Dzisiaj lud Ajnów liczy około 25 tys. osób, a język i kultura ludu praktycznie zanikły. Japońscy badacze skonfrontowali nagrania Piłsudskiego z najstarszymi żyjącymi jeszcze członkami narodu Ajnów. Rozpoznano m.in. głos Chuhsammy!

Miejmy nadzieję, że nie pomstowała na swojego polskiego męża.



W październiku 2013 roku w mieście Shiraoui, w tamtejszym muzeum Ajnów, odsłonięto

popiersie Bronisława Piłsudskiego, który ocalił od zapomnienia zanikającą kulturę ludu. Natomiast Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie przechowuje 100 woskowych wałków Piłsudskiego. 😊

SZLACHCIC-ZAKONNIK

spalony Polak w XVII-wiecznej Japonii

Wiek XV i XVI to czas odkryć geograficznych. Żądni przygód Europejczycy, głównie Portugalczycy, Hiszpanie, później Holendrzy, Francuzi, Brytyjczycy, wstawiali się wyprawami w nieznane. Z żeglarzami wyruszali misjonarze, których celem była chrystianizacja pogańskich ludów. Misjonarze rywalizowali ze sobą!



Najlepiej radzili sobie na misjach jezuici. Ich zakon został założony w XVI wieku i miał zajmować się zdobywaniem dusz dla Kościoła katolickiego. Jezuici byli bardzo aktywni, chociaż ich życie nie było łatwe.



Sprawdź, czy na pewno chcesz zostać jezuitą!

Co Ci grozi:	Stopień potworności	Zgoda?
<i>Będą Cię uczyli łaciny</i>	★★★★	<input type="checkbox"/>
<i>Zapomnij o dobrym jedzeniu</i>	★	<input type="checkbox"/>
<i>Dziewczyny nie dla Ciebie</i>	★★	<input type="checkbox"/>
<i>Pełne posłuszeństwo przełożonym</i>	★	<input type="checkbox"/>
<i>Dzicy mogą Cię zjeść</i>	★★★★	<input type="checkbox"/>
<i>Okaze się, że niechrześcijańskie kultury są lepsze od tych, które znasz z Europy</i>	★★	<input type="checkbox"/>
<i>Będziesz uczył w szkole</i>	★★★	<input type="checkbox"/>

Wojciech Męciński (Męczyński) swoimi przygodami mógłby wypełnić kilka tomów książek. Urodził się w Osmolicach w zamożnej szlacheckiej rodzinie. Po studiach na Akademii Krakowskiej i w Portugalii przygotowywał się jako jezuita do misji w Japonii. Władze Japonii początkowo przychylnie traktowały cudzoziemców. Po parudziesięciu latach rozwoju misji klimat polityczny w Japonii uległ jednak zmianie. Władza zaczęła wprowadzać projekt zjednoczenia kraju. Pomysł może chwalebny, ale ofiarą nowej polityki zaczęły padać również misje chrześcijańskie – uznano, że obca, „europejska religia podważa jedność narodu. Męciński, co by nie mówić, z ducha Polak i szlachcic, nie zrezygnował. Jednak jego wyprawa nałożyła się na działania szoguna z rodu Tokugawa, który wprowadził zakaz kontaktu z kupcami i misjonarzami. Obcokrajowcy otrzymali nakaz opuszczenia Japonii, opornych po prostu mordowano. (Tak rozpoczęła się ponad 200-letnia samoizolacja Japonii od wpływów europejskich).



Jak się wówczas podróżowało, pokazuje już pierwsza wyprawa naszego bohatera. Płynął do Indii, ale wylądował w Brazylii...

Musiał zawrócić do Europy. Na początku 1633 roku wypłynął po raz drugi do Indii i tym razem wylądował OK. Pod nazwiskiem Albertus de Polonia pracował charytatywnie w szpitalach w Goa. Rok później pożegłował na terytorium dzisiejszego Wietnamu i tam pracował jako misjonarz. Kiedy dotarła do niego mroząca krew w żyłach wiadomość o straceniu w Japonii szefa najważniejszej misji prowadzonej przez jezuitów, Męciński udał się najpierw do Malakki (leczył tam chorych żołnierzy), potem do Makao, u wybrzeży Chin, cały czas starając się dostać do Japonii.

Okręt, którym płynął do Japonii, został porwany przez Holendrów, protestantów niechętnych katolickim jezuitom, i skierowany na wyspę Formozę.

Koniec przedsięwzięcia?

Ależ skąd, w niewoli nasz jezuita leczył więźniów. Jak w powieści – zachorował syn gubernatora i kto go, oczywiście, wyleczył? Albertus. To zdecydowanie poprawiło jego sytuację. W końcu uciekł. W Kambodży zaprzyjaźnił się z tamtejszym królem. Tam też

przychodzi wieść o załamaniu się przełożonego misji w Japonii – jezuita ugiął się podczas tortur i przyrzekł współpracę z władzami przeciwko misjonarzom. (Oddajmy jednak honor zdrajcy – zanim wpadł w ręce siepaczy, założył wiele misji katolickich w ukryciu pod pozorem działania „niewinnych” towarzystw herbacianych lub poetyckich).



Albertus de Polonia niczego bardziej nie pragnął, jak dopłynąć do Japonii i tam nowymi ofiarami okupić słabość przełożonego. Niestety, udało mu się.

Po latach nieudanych prób dostał się do Japonii. Podróżował po niej w przebraniu Chińczyka, ale dość szybko został, wraz z towarzyszami, pojmany. Ludzie cesarza poddali więźniów torturom. Nasz dzielny rodak, znany jako Albertus de Polonia, zmarł 23 marca 1643 roku. Kto wierzący, niech zmówi czasem za niego modlitwę, bo dzielny był ponad miarę.

Dzisiaj na ponad 120 mln Japończyków ok. 1,5 mln wyznaje chrześcijaństwo.

EMILIA PLATER

polska Joanna d'Arc czy polska Bubulina?



Rok 1815. Mocarstwa, które pokonały Napoleona Bonapartego, na nowo pokawałkowały i na nowo zszyły Europę. Z części ziem polskich car rosyjski utworzył Królestwo Polskie, którego został królem.

Rok 1815 był znaczący też dla młodziutkiej jeszcze Emilii Plater osobiście – jej rodzice rozstali się, mała przeniosła się z matką do majątku ziemskiego w okolice Dyneburga (teren

dzisiejszej Łotwy). Wychowywała się razem z kuzynami – chłopakami. Z nimi jeździła konno, polowała i w ogóle była „chłopczycą”.



Śledziła uważnie losy różnych organizacji młodzieżowych, wzmacniała swój patriotyzm, ale też poddawała się duchowi ówczesnej romantycznej epoki. Uległa fascynacji postacią współczesnej greckiej bohaterki Bubuliny, która, walcząc o wolność Greków z Turkami, oddała swój majątek na cele greckiego powstania (1820 rok). Czytała też z zachwytem o średniowiecznej bohaterce francuskiej Joannie d’Arc. (Tak, tak, tej spalonej na stosie, ale zanim ją pojмали i zabili, była rycerzem na schwał. To znaczy rycerką). Trudno się dziwić, że kiedy w listopadzie 1830 roku w Warszawie wybuchło powstanie przeciw carowi, Emilia Plater poczuła wołanie historii.



Plater sformowała własny oddział liczący około 300 powstańców, z którym przeprowadziła kilka walk i potyczek z Rosjanami. Kiedy oddział uległ rozproszeniu (bo, jak to się nieraz zdarza, Rosjan było więcej), walczyła pod dowództwem Dezyderego Chłapowskiego. Za zasługi wojskowe nadał on Emilii stopień kapitana i mianował dowódcą 1 Kompanii 25 Pułku Piechoty Liniowej!

Powstańcy, mimo kilku zwycięstw, byli coraz bardziej spychani nad granicę rosyjsko-pruską przez przeważającą liczebnie armię rosyjską. Kiedy w końcowej fazie powstania Chłapowski podjął decyzję o przekroczeniu granicy Prus i złożeniu broni, Emilia przebrana w chłopskie ubranie przedarła się do Warszawy.

No i czy to nie jest supermaterial na film?



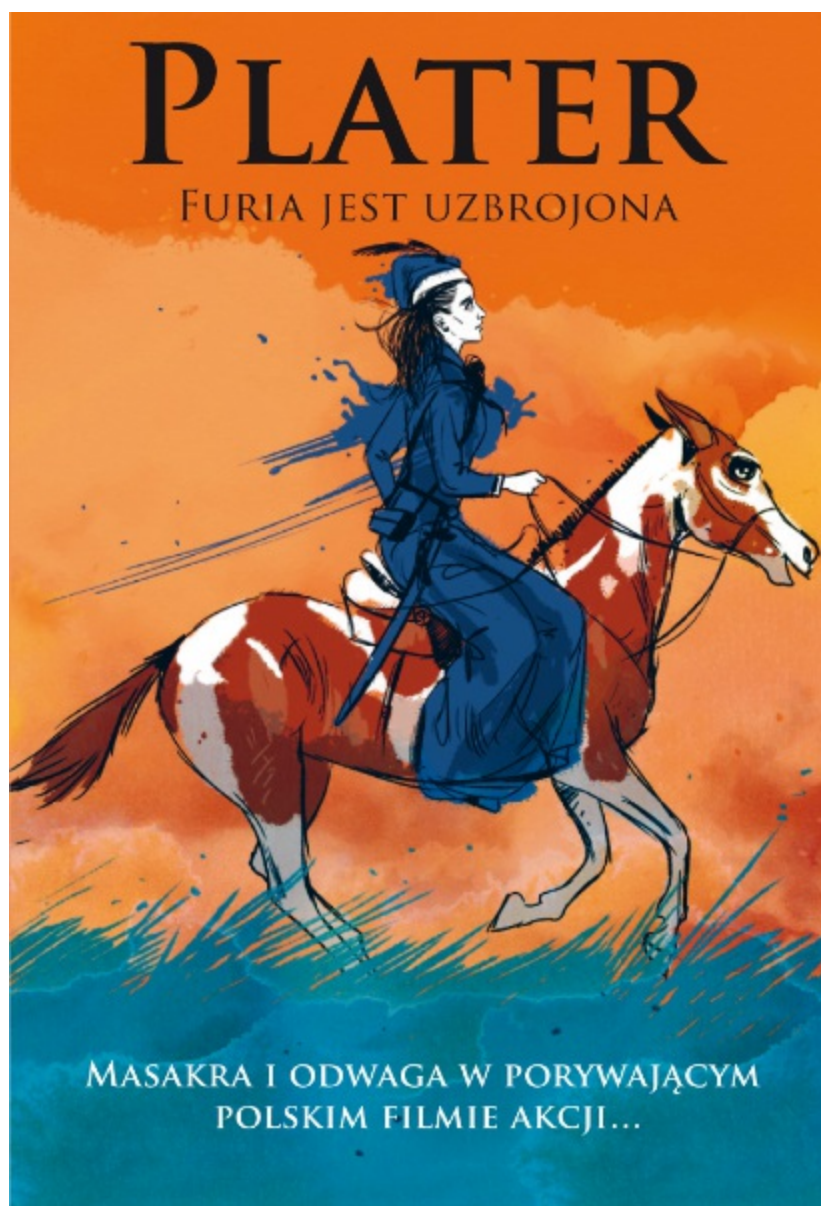
Skłębiona szarość chmur



NOWATORSKI DRAMAT PSYCHOLOGICZNY
O KONIU, KTÓRY...



Nie! Nie taki film!



Wraz z dwiema osobami Emilia przedzierała się lasami w kierunku Warszawy, tropiona przez wojska carskie. Ciężka wędrówka, głód, zmęczenie okazały się jednak ponad siły młodej dziewczyny. Umarła tuż przed wigilią 1831 roku w wieku 25 lat.

Kontrowersje budziła już za życia. Powstawały opowieści o jej niezwykłym męstwie, ale też wyzłośliwiano się albo zarzucano niemoralność. Dlaczego? Ponieważ podjęła się samodzielnej walki, zlekceważyła postępowanie wielu dowódców-mężczyzn, którzy nie pozwolili jej na udział w kierownictwie powstania. Zachowała się inaczej niż tego oczekiwano, podejmowała działania, które odbiegały od przyjętego wzorca kobiety. Gdyby zachowała się odważnie, ale „normalnie”, pomagałaby jak wiele innych kobiet, opatrując rannych powstańców. Ceniono by ją i nikt nie odważyłby się podważać jej moralności.

O dobrej jej ocenie przesądził Adam Mickiewicz (*Śmierć pułkownika*):

🍂 Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne, dziewicze ma lica!

Jaką pierś! ...Ach, to była dziewczina,

To Litwinka, dziewczina-bohater

Wódz powstańców: Emilia Plater!

Za jego przykładem polscy malarze uwieczniali bohaterkę Polski, Litwy i Białorusi jako bardzo piękną kobietę. Portrety są nieco wyidealizowane. Ignacy Domeyko, który znał Emilię, tak ją opisał: „Błada, niepiękna, ale okrągłej, przyjemnej, sympatycznej twarzy, błękitnych oczach, kształtnej, ale niesilnej budowy; była poważną, bardziej surową, niż ujmującą w obejściu się, mało mówiącą i spojrzeniem nakazującą dla siebie należne względy i przyzwoitość”.

Ale czy taka niecodzienna superbabka mogła być malowana jako blada i niepiękna? Podobnie zresztą Domeyko – na pewno był urodziwy.



IGNACY DOMEYKO

człowiek z końca świata

Kiedy Ignacy Domeyko, który urodził się 1802 roku, jeździł do szkoły powiatowej w Szczuczynie, podróżował bryczką. Gdy w 1887 roku przybył z Chile do Krakowa, aby odebrać tytuł doktora *honoris causa*, poruszał się wygodnie koleją, a np. w Berlinie mógłby się nawet przejechać elektrycznym tramwajem. W drugiej połowie XIX wieku wynalazki i odkrycia następowały po sobie jak burza, starano się je szybko wykorzystywać i nieustannie doskonalić, by rozpędzały wzrost produkcji i obniżały jej koszty. Łatwo było przegapić zmiany i zostać z tyłu. Domeyko nie przegapił.



Życiorys Ignacego Domeyki może zirytować każdego, kto mozolnie pnie się w górę po schodkach edukacji. Bo Domeyko zaczął studia na Uniwersytecie Wileńskim, kiedy ukończył lat 14, słownie: czternaście. Mając lat 17, zaczął udzielać się w Towarzystwie Filomatów, w którym poznał m.in. Adama Mickiewicza. Wieszcz pozostawał pod jego urokiem – w *Dziadach* opisał Żegotę (czyli Domeykę) jako supergościa, lidera grupy. W wieku lat 21

Mickiewicz i Domeyko poznali kogoś nowego – carską policję, która jego i wielu jego kolegów aresztowała za tajną (po części wymyśloną przez policję) działalność.

Ignacy i tak miał szczęście, nie pojechał na Syberię, lecz skazany został... na sześć lat przebywania na wsi, pod nadzorem policyjnym. Ponieważ nudził się okropnie, zajął się hodowlą rasowych krów.



A potem... A potem jak to Polak. Wybuch powstanie (listopadowe, 1830 rok), Domeyko bierze udział, nie ginie, lecz musi po klęsce uciekać z kraju, mieszka w Paryżu, kończy we Francji Akademię Górniczą (no, może to akurat nie jest takie typowe dla polskiego losu).

Następnie trochę pracuje, odbija się od ściany do ściany, zastanawia się, co ze sobą zrobić, aż dostaje nieoczekiwanie propozycję z Naprawdę Daleka. A dokładnie z Chile. Małego kraju w Ameryce Południowej, który miał wiele złóż naturalnych (miedź, srebro, cyna, saletra), ale ani jednej szkoły górniczej z prawdziwego zdarzenia. Ignacy wsiadł na statek i już (?) po czterech miesiącach wysiadł w Coquimbo.

Zdarzają się wśród nas ludzie, którzy marzą o tym, by pewnego dnia znaleźć się gdzieś na końcu świata, a następnie odegrać tam historyczną rolę. Domeyce to się właśnie udało.

Historycy łamią sobie głowę, jak to się stało, że Domeyko zaczął wykładać po hiszpańsku, że zgromadził wokół siebie energicznych ludzi, że obudził senną chilijską edukację i że został pierwszym rektorem pierwszego chilijskiego uniwersytetu z prawdziwego zdarzenia. Chile zawdzięcza mu unowocześnienie przemysłu wydobywczego, ale przede wszystkim postawienie na nogi życia akademickiego. W 1848 roku parlament Chile nadał mu obywatelstwo chilijskie. Nazwisko Domeyki po dziś dzień otaczane jest w Chile ogromną sympatią.

Jest nawet grupa entuzjastów, która pragnie doprowadzić do wyniesienia profesora Domeyki do rangi świętych!



Annamaria
0909
członek
★

A ja to słyszałam, że Domeyko miał romans z 15-latką. No to bardzo święty nie był.



Lisa
członek
★★

12.05.2010 o 19:12 Lusiana napisał(a):

Co ty gadasz? Domeyko? Przecież był inżynierem.

Oczywiście Domeyko nie miał żadnego romansu z 15-latką. Po prostu się z nią ożenił, będąc sam trochę starszy (no dobra, miał 47 lat). Jeżeli wierzyć opowieściom, wszyscy byli bardzo szczęśliwi, także ich dzieci. Córka wyjechała... na Litwę, gdzie zawarła małżeństwo z Polakiem. Syn został księdzem.

Domeyko przed śmiercią wybrał się do Europy. Przejeżdżał przez Kraków, Warszawę, sporo czasu spędził w rodzinnych stronach na Litwie.



Umarł w Chile, tam też jest pochowany. Jego imieniem nazwano góry, kilka odmian dinozaurów i pterozaurów, a nawet pająka.

EMIGRANT PRZYMUSOWY

kolej na Kazimierza Stanisława Gzowskiego

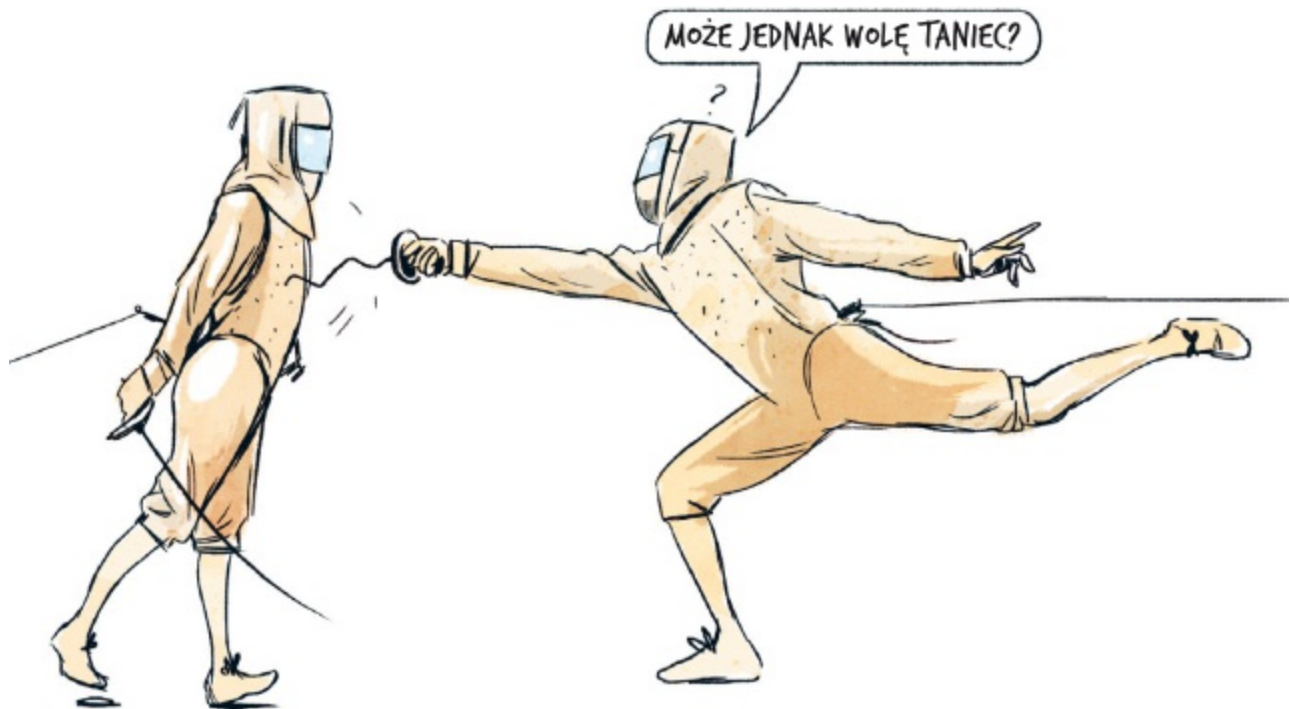


Dziś wielu nie chce w to uwierzyć, ale w dziedzinie kolei byliśmy swego czasu potęgą. Przesada? Owszem, nawet spora. 😊 Ale zaprzeczyć nie można, że kilku polskich inżynierów wielce się do rozwoju kolejnictwa w wieku XIX przyczyniło. Wszyscy byli emigrantami. Wśród nich Kazimierz Gzowski.

Na emigracji znalazł się, jak wielu innych, aby nie znaleźć się całkiem gdzie indziej. Klęska powstania listopadowego (1831 rok) dała władzom carskiej Rosji okazję do zsyłania tysięcy powstańców na tereny położone w głębi imperium rosyjskiego, z czego władze

korzystały pełną garścią. Ci, którzy uciekli na zachód Europy, mogą być uznani w takiej sytuacji za szczęśliwców. Mówi się o nich: Wielka Emigracja. Tysiące Polaków poszło (!) na zachód Europy, a nawet wyruszyło na inne kontynenty.

Gzowski był przedstawicielem szlachty polskiej herbu Junosza, jego pra-pra-pra... był Stanisław, dworzanin króla Zygmunta Augusta. Jako 9-latek został wysłany na naukę do Liceum Krzemienieckiego (kończył je także Juliusz Słowacki). Jako 18-latek rozpoczął służbę jako oficer saperów w armii rosyjskiej. Kiedy wybuchło powstanie listopadowe, Gzowski przebywał w Warszawie i przeszedł na stronę polską. W kwietniu 1831 roku przebywał już na terenie zaboru austriackiego, nie chcąc być aresztowanym po powrocie do zaboru rosyjskiego, wybrał emigrację. Mając lat 21, znalazł się w Nowym Jorku. W Ameryce zasługi powstańcze nic nie znaczyły, Gzowski odwołał się zatem do innych umiejętności. Pracował zarobkowo, dając lekcje języków, tańca i szermierki.



Miał 21 lat.

Na szczęście, ucząc innych, sam też się uczył – prawa. Kiedy otrzymał obywatelstwo amerykańskie, zdecydował się na karierę, która dzisiaj jest w Stanach Zjednoczonych bardzo popularna – karierę prawnika. Byłego sapersa zaczęło jednak ciągnąć w inną stronę i szczęśliwie Gzowski otrzymał pracę na kolei jako inżynier. Najpierw pracował przy budowie kolei w Nowym Jorku, na początku lat 40. XIX wieku przeniósł się do Kanady. Kanada rosła i terytorialnie, i gospodarczo, czego wyznacznikiem był m.in. apetyt na kolej. Polski inżynier (oraz, jak pamiętamy, prawnik, szermierz, żołnierz, saper i tancerz; skąd się biorą ludzie o tylu talentach? I czemu my nimi nie jesteśmy?) pracował przy budowie potężnego mostu łączącego

Kanadę i USA na rzece Niagara. Udział w tym projekcie przyniósł mu sławę dobrego inżyniera. Kiedy wpadniecie do Niagara Falls, poszukajcie umieszczonej tam pamiątkowej płyty poświęconej Gzowskiemu. Gdyby to kogoś nie obchodziło, objaśnijcie, że to Polak. Przydatne słówka: *fencing* – szermierka, *uprising* – powstanie, *dancer* – tancerz, *Poland* – Polska.

Gzowski wpadł na kolejny 😊 dobry pomysł – stworzenie parku narodowego na obszarze wodospadu Niagara. Odzew ze strony Kanadyjczyków mieszkających w tej okolicy rozczarował go: „A po co to komu, rząd postawi płotek, a ludzie nie będą mieli z tego ani grosza...” itd. Gzowskiego uznano za dziwaka. Błąd, bo saper się nie myli! Gzowski znalazł sprzymierzeńców w Amerykanach i ostatecznie rezerwat utworzono. Jego pierwszym prezesem został właśnie jego twórca. Zyg, zyg, zyg...

W 1967 roku Polonia kanadyjska odsłoniła pomnik Kazimierza Gzowskiego w obecności późniejszego premiera Kanady Pierre’a Trudeau. Pomnik ustawiono w parku nad brzegiem jeziora Ontario, w pobliżu centrum Toronto.

Gzowski zawsze podkreślał swe polskie pochodzenie, ale był też lojalnym poddanym korony brytyjskiej (Kanada stanowiła wówczas część brytyjskiego imperium). Królowa Wiktorja obdarowała kanadyjskiego Polaka tytułem honorowego adiutanta królowej (co było podobno pierwszym takim wyróżnieniem przyznanym mieszkańcowi kolonii brytyjskich).

Problemy Polaków-emigrantów, tych, którzy chcą lub muszą udać się na emigrację, właściwie nie zmieniły się od czasów Gzowskiego, chociaż zaborców już dzisiaj, na szczęście, nie ma. Warto poczytać rady różnych emigrantów, zanim ktoś by się zdecydował na taki krok, a nie dopiero po.



igor10

24.05.2010, 17:21

Gwarancji adaptacji na emigracji nie ma nigdy i dla nikogo. Nie każdy się do emigracji nadaje. Wymagana jest pewna twardość wobec samego siebie... Całkowicie błędnym jest podejście, że na emigracji ma być tak samo jak w Polsce, z taką różnicą, że ma się pracę i pieniądze. (...) Zajmij się czymś fizycznie aktywnym, żeglarstwo, siłownia, narty, chodzenie z plecakiem po górach np. w Szkocji – z czasem będziesz miał wejście w środowisko hobbystów albo zapiszesz się do klubu ludzi o takich samych zainteresowaniach.

 [Lubię to](#) • [Skomentuj](#) • [Udostępnij](#)

Można by pomyśleć, że to rady samego Gzowskiego! Kazimierz Gzowski, emigrant

przymusowy, niewątpliwie wykazał się twardością charakteru, miał *fullhobbies* oraz *skills* i umiał odnaleźć się w nowym otoczeniu. Nic dziwnego, skoro skończył dobre liceum!

OJCIEC POLSKIEJ EMIGRACJI

*Sebastian Woś-Saporski z Siołkowic Starych
i z Brazylii*



A teraz przykład, że można nie skończyć dobrego liceum, a osiągnąć w życiu i w Brazylii bardzo wiele. Woś urodził się w rodzinie chłopskiej, biednej, ale dbającej o edukację, w 1844 roku. Wielkich możliwości rodzina Wosiów nie miała, Sebastianek skończył szkołę bardzo podstawową, a następnie szkołę zawodową (mierniczą). W jednym z opracowań podaje się, że chodził do znanego na śląsku opolskim gimnazjum, ale go nie ukończył. Co, niestety, nie oznacza, że każdy, kto nie ukończy gimnazjum, da sobie świetnie radę w życiu.

Wyjechał z kraju. Podobno dlatego, że chciał uniknąć służby wojskowej, a na pewno do

Ameryki Południowej. Trafił w końcu do Kurytyby w Brazylii i nie byłoby w jego losie nic szczególnego, gdyby nie to, że skłonił do przyjazdu 16 rodzin ze swoich rodzinnych Siołkowic Starych. Jak to zrobił? Przecież nie wysłał filmu promocyjnego ani nie smsował.



Wystarczył podobno jeden list, w którym Woś napisał, że znajdzie się robota dla każdego. I po tym liście kilkadziesiąt osób wyruszyło ze Śląska... w Kosmos, bo naprawdę mniej więcej tyle wiedziano wtedy na wsi o Brazylii, co dzisiaj o składzie chemicznym planetoid.

Może jego żona umiała czarować? Była Brazylijką, która, jak głosi legenda, uratowała życie mężowi podczas jakiejś wyprawy w puszczy. Zawsze nosiła korale. Nigdy nie nosiła butów. Nazywała się Terezinha, a jej męża Polacy nazwali „ojcem polskiej imigracji do

Brazylii”. Był zawsze i wszędzie, dokąd docierali „brazylijscy” Polacy.

Stał się propagatorem imigracji i opiekunem tych, którzy rzucili wszystko, aby zamieszkać tam, gdzie zdawało się, że nikt nie mieszka. Wykszał się jako mierniczy i wytyczał działki polskim imigrantom. Założył pierwszą polską organizację – Towarzystwo im. Tadeusza Kościuszki. Założył polską gazetę. I w ogóle prawie każda szacowna instytucja polska w Brazylii był zakładana przez Wosia-Saborskiego (zmienił nazwisko, aby uczcić swojego protektora, polskiego szlachcica Saborskiego).

Co ciekawe, zawsze propagował czynne włączanie się Polaków w życie polityczne i społeczne kraju, który ich przyjął. Sam był deputowanym w kongresie stanowym, działał m.in. w Komisji Policji Wojskowej. Jeżeli wierzyć popularnej w stanie Parana opowieści lokalny język (brazylijska odmiana portugalskiego) wzbogacił się o słowo *Pxiaceffe!* (psiakrew). Za to miejscowość Brusque zmieniła nazwę na Brzózka. Polska emigracja w Brazylii długo zachowywała dwujęzyczność oraz polskie obyczaje, a nawet i w naszych czasach wydaje własną gazetę, organizuje wigilie oraz, rzecz jasna, pamięta o „ojcu polskiej imigracji”.

Woś-Saporski był niewysoki i chudy, ale działał za dziesięciu. Rozmiar, drodzy Czytelnicy, nie ma znaczenia.



KRZYSZTOF GENIALNY

KOMEDA



No i proszę, sprawdziło się. Krzysztof Trzcíński „komendą” nie został, ale stał się jednym z najslawniejszych polskich artystów jazzowych. Przyjął wtedy pseudonim „Komeda”.



Lila
użytkownik

13.10.2012 Lila napisał(a):

Czy ktoś kojarzy Komedę, mam napisać notatkę o nim na muzykę? Helpik, helpik, plizki, plizki. 😊



Zula
użytkownik

13.10.2012 Zula napisał(a):

Najbardziej znany jest z kołysanki w filmie *Dziecko Rosemary*.



Jak
użytkownik

13.10.2012 Jak napisał(a):

Ciekawe też jest to, że był laryngologiem 😊, a muzykę to tak jako hobby początkowo traktował. Kiedy był młody, rządziła Polską komuniści, a oni jazz uważali za muzykę imperialistów – kapitalistów. Do 1956 roku to muzyków jazzowych nawet prześladowali. Pewnie dlatego został lekarzem. 😊



Zula
użytkownik

13.10.2012 Zula napisał(a):

Zrobił muzykę do takiego filmu *Nóż w wodzie*, też Polańskiego. Ktoś oglądał ten film? W domu mi mówią, że jest super. 😊



Sing
członek

13.10.2012 Sing napisał(a):

Noża nie oglądałem, ale widziałem *Nieustraszeni pogromcy wampirów*. To też Polańskiego, fajny i straszny. 😊



Margrabia
użytkownik

13.10.2012 Lila napisał(a):

Wow, właśnie wyczytałam, że Komeda był w Hollywood gwiazdą. 😊😊

Komuniści rzeczywiście w latach stalinizmu prześladowali muzykę jazzową (czego oni zresztą wtedy nie prześladowali?), ale po wydarzeniach 1956 roku klimat w Polsce zmienił się. Skończyła się „zima”, zaczęła się „odwilż”. Jazz wyszedł z podziemia. Zwycięstwo na I Festiwalu Jazzowym w Sopocie sprawiło, że Komeda coraz mocniej wiązał się z muzyką, a coraz mniej z medycyną. Jego muzyka odniosła ogromny sukces w Skandynawii na początku lat 60. XX wieku. Szczególnie dobrze przyjęto jego nowoczesne dźwięki w Sztokholmie. Tam też nagrał płytę (*longplay*, jak się wtedy mówiło) z międzynarodowym kwintetem. Z Polaków, oprócz samego Komedy, w nagraniu brał udział Jan Ptaszyn Wróblewski, późniejsza legenda jazzu. Inny nasz wielki, Tomasz Stańko, który przez kilka lat

grał z Komedą, mówił potem, że w tym czasie kompletnie nie mógł sam komponować: „Przy takim geniuszu nie miało to sensu”.



Lila
użytkownik

25.10.2012 Lila napisał(a):

Hej, ja jeszcze o Komedzie, bo przeczytałam sobie. W klasie, jak czytałam notatkę, to nawet dwie osoby oglądały *Dziecko Rosemary*, kołysankę już wszyscy kojarzymy 😊, ale muzyk mówił, że trudno było Komedzie ten nowoczesny jazz grać, że robił jakieś naskłuchy z zagranicznych stacji. W naszym radiu nie nadawali jazzu.



Sing
członek
★★

25.10.2012 Sing napisał(a):

No jasne, to dziadek mi opowiadał, że jak ktoś chciał rock'n'rolla posłuchać, to musiał szukać Radia Luxembourg.



Wiera
admin
○○○

25.10.2012 Wiera napisał(a):

Hej, fajnie, że o Komedzie piszecie, jest chyba bardziej znany na świecie niż u nas, a wiem, że w młodości słuchał też audycji Głosu Ameryki.



Lila
użytkownik

25.10.2012 Lila napisał(a):

Ten Głos to tak jak Wolna Europa? Słyszałam, że komuniści zagłuszali te stacje, żeby muzyki nie można było posłuchać? Jakie to głupie. 😞



Zaza
członek
★★

04.08.2013, 18:19 Zaza napisał(a):

Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie dostał nawet nominacji do Oscara? Kołysanka z *Dziecka Rosemary* to jeden z klasyków muzyki filmowej; przerażająca.



Aong13
użytkownik
★

04.08.2013, 18:24 Aong13 napisał(a):

No cóż, muszę zgodzić się z przedmówcami. Oscary to nie są nagrody, które zawsze wyznaczają najwyższy standard. Komedza zasłużył przynajmniej na nominację, a może i na statuetki za *Dziecko Rosemary*.



Wiera
admin
○○○

04.08.2013, 18:32 Wiera napisał(a):

Komedza i bez Oscara geniuszem i Artystą był i basta! Moim ubóstwianym OST jest zdecydowanie ten od *Matni* (szczególnie *Cherry* i *Pushing the Car*), mogę go słuchać do znudzenia, Komedza przeszedł samego siebie. A gdyby nie odszedł tak wcześnie... ile pięknej muzyki było jeszcze przed nim...

04.08.2013, 18:33 Buba11 napisał(a):

Cała otoczka tej nagrody do niego nie pasowała, tak myślę. Ach, można by powiedzieć,



Buba11
użytkownik
★

że Oscar nie zasłużył na Komedę. 😊😊😊



Thande
użytkownik
★★

04.08.2013, 18:40 Thande napisał(a):

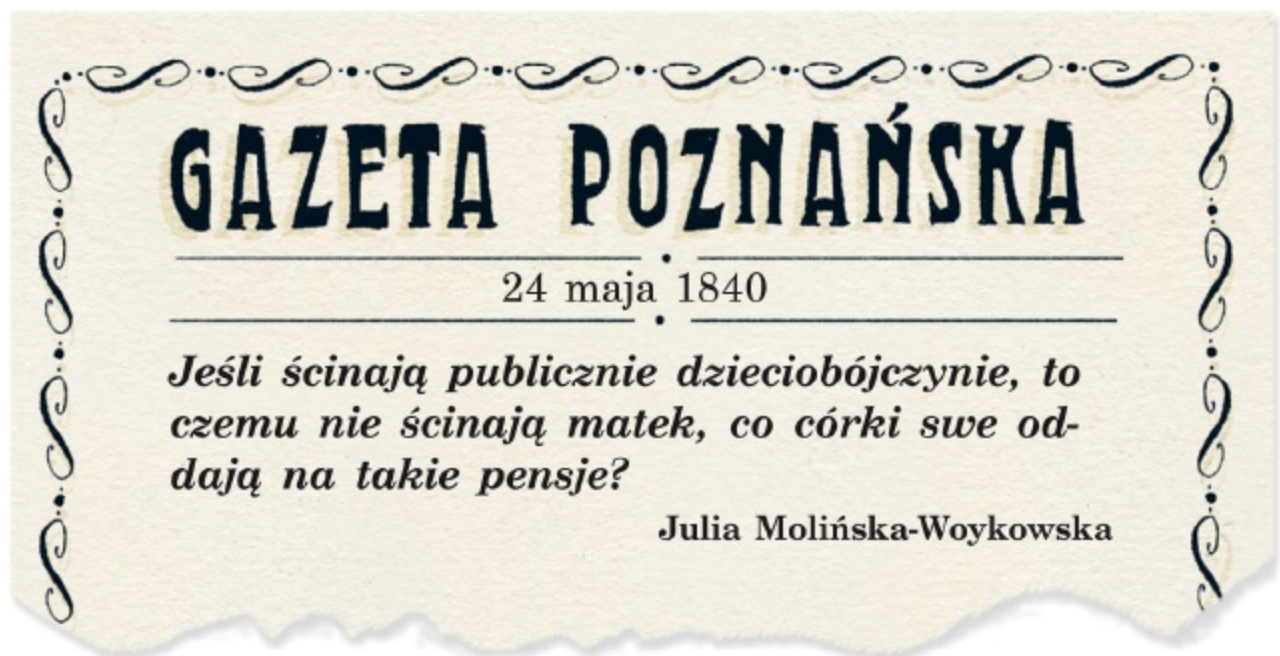
Wielka szkoda dla wszystkich, że tak wcześnie umarł. Muszę dorwać płyty z tą muzyką i poznać jego inne dokonania.

Czego każdemu wypada życzyć. Dorywajcie płyty mistrzów, czytajcie, opowiadajcie o nich. Najwyżej otoczenie uzna Was za lekko zdziwaczałych. Cóż z tego? Nie każdy przejmuje się tym, co o nim mówią...

JULIA MOLIŃSKA- WOYKOWSKA

z dziewczyn robi wariatki

Jakie mogą być skutki mieszkania za granicą, przekonali się państwo Molińscy, spokojni, pracowici mieszczenie. Pan Moliński, urzędnik celny, spędził sporo czasu w Berlinie i Paryżu. Jego córka Julia od dzieciństwa, by tak powiedzieć, wiercipięta (czy to nie nazywa się dzisiaj ADHD?), chłonęła zagraniczne, postępowe idee. Po powrocie do rodzinnego Poznania Julia daje upust nagromadzonej pasji. Ni mniej, ni więcej, w serii artykułów zabrania szlachcie ziemi, domaga się „poskromienia księży”, wyzwolenia kobiet z konwenansów i przebudowy tzw. pensji (szkół dla dziewcząt). A był to rok 1840.



Do tego zaczęła palić cygara i pokazywać się publicznie z mężczyzną, z którym nie miała ślubu.

Trzeba było jednak pewnej naiwności, aby z takim programem spróbować założyć

nowoczesną, zreformowaną pensję dla dziewcząt (m.in. miał w niej panować nakaz siedzenia po turecku na podłodze, nigdy na krzesłach). O dziwo, znalazły się matki chętne do oddania córek w paszczę lwa. Przepraszam, lwicy. Niewiele, ale zawsze. Jednak władze pruskie zamknęły pensję, namawiane do tego przez liczne... Polki („Ona z dziewczyn zrobi wariatki”, skarżyła się jedna z przeciwniczek Molińskiej).

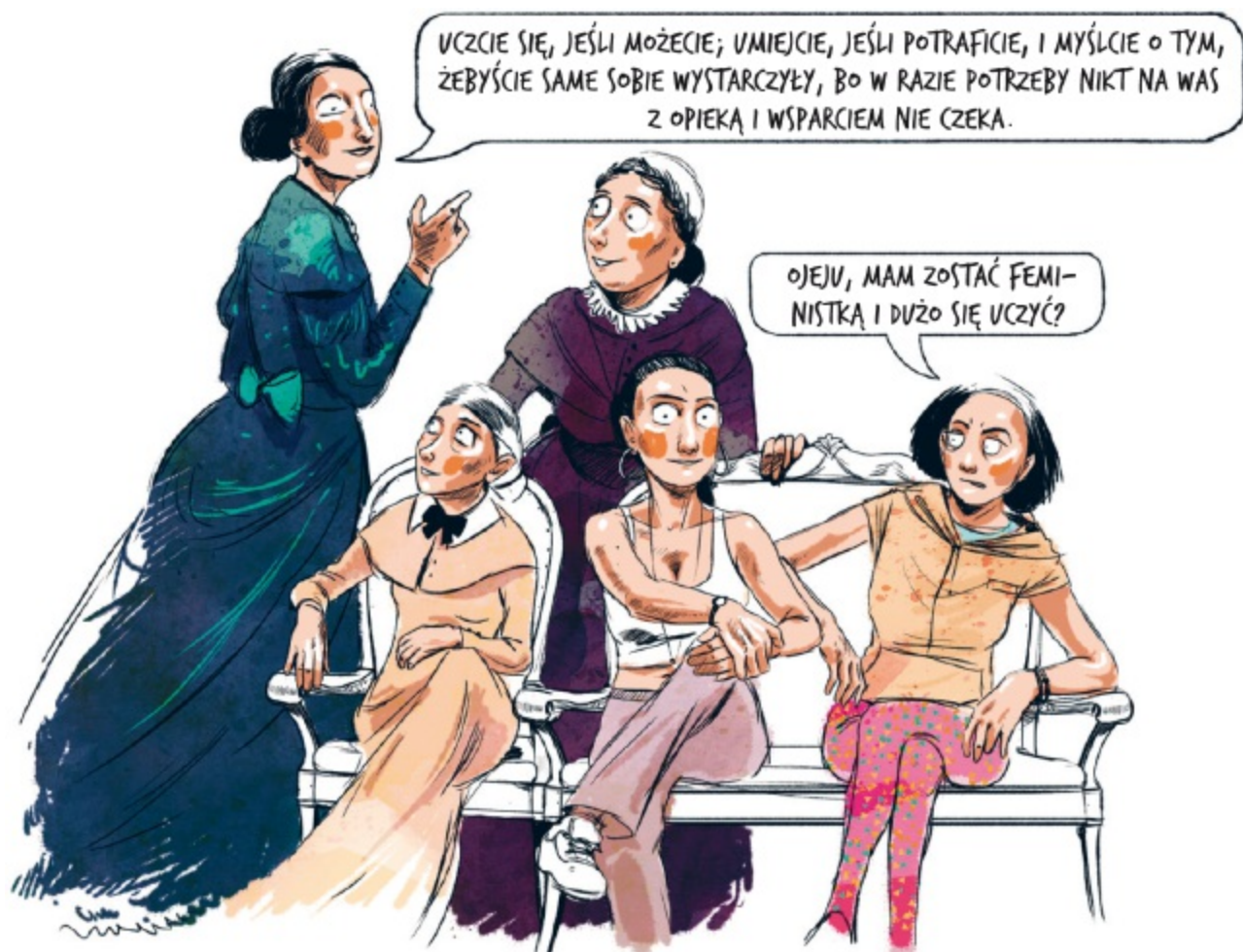
Molińska z pasją zaczęła pisać artykuły, powieści, opowiadania dla dzieci, ulotki. Przez siedem lat wydawała wspólnie z mężem (kiedy zawarli ślub, zrobili to tajnie, by bardziej zdenerwować opinię publiczną) radykalny i odważny „Tygodnik Literacki”. Była zwolenniczką idei demokratycznych, „wyzwolenia ludu”, a przy okazji równouprawnienia kobiet.

Dla większości współczesnych była zbyt radykalna, zbyt wolna (były to czasy, kiedy przyzwoitej kobiecie nie wypadało wyjść samej z domu nawet do sklepu), zbyt, powiedzielibyśmy, narwana. Zarazem była dzielna, ofiarna, inteligenta, a kiedy w 1848 roku wybuchła Wiosna Ludów, pospieszyła z pomocą powstańcom... Krótko mówiąc, świat byłby bez takich osób jak zupa bez przypraw.



NARCYZA ŻMICHOWSKA

feministka z zasadami



Narcyza Żmichowska, patronka wielu szkół gimnazjalnych czy ponadgimnazjalnych, sama była nauczycielką. Skończyła Instytut Guwernantek w Warszawie, a zatrudniona przez rodzinę hrabiów Zamoyskich wyjechała z nimi do Paryża. (Z czego płynie chyba wniosek, że zawód guwernantki jest super. Szkoda, że jakoś dzisiaj zanikł).

Przełom lat 30. i 40. XIX wieku, Paryż... Żmichowska znakomicie mówi po francusku. Podjęła studia w Bibliotece Narodowej, jako jedna z pierwszych, nielicznych kobiet uczęszczała na posiedzenia Akademii Francuskiej. Paryż był też miejscem, w którym łamała

reguły przyjętego zachowania dla kobiet. Posunęła się nawet do tego, że odważnie wyrażała swoje poglądy! I paliła cygara (co było chyba obowiązkowe w tym środowisku?!).

Spotkała się tam ze swoim bratem, emigrantem po powstaniu listopadowym, mężczyzną o demokratycznych poglądach. Rozmowy z bratem radykałem wzmocniły jej przekonania co do roli kobiet. Demokracja była wówczas w Europie modnym i frapującym hasłem, podnoszonym jednak głównie przez wykształconych mężczyzn walczących o demokrację dla mężczyzn. Żmichowska postanowiła pójść o wiele dalej.

Na początek wróciła do imperium rosyjskiego, do Warszawy...



Żmichowska otworzyła pensję dla dziewcząt w Warszawie. Samodzielnie opracowała program kształcenia. Chyba łatwo możemy się już domyślić, że nie dotyczył głównie robótek i gry na pianinie.

„Wiedza o świecie potrzebna jest kobietom po to, by mogły świadomie podejmować życiowe decyzje, by mogły działać, pracować, politykować, wychodzić poza rolę żony i matki” – głosiła Żmichowska. Musiała mieć w sobie coś przekonującego, skoro znalazły się matki skłonne finansować edukację swoich córek u pani, która tak oceniała wiele ówczesnych polskich mam: „Chrupiąc makaroniki, deklamują o nauce Chrystusa”.

Zalecała dwa programy nauczania.

GOSPODARSKO-PRAKTYCZNY

dla dziewcząt, które chciały realizować się w rodzinie, wytrzymując z mężem i wychowując fajne dzieciaki.

NAUKOWY

dla dziewcząt, które swoje uzdolnienia chciały wykorzystać w obszarze nauki.

Tak pierwszy, jak i drugi program zakładał wyrobienie postawy patriotycznej.

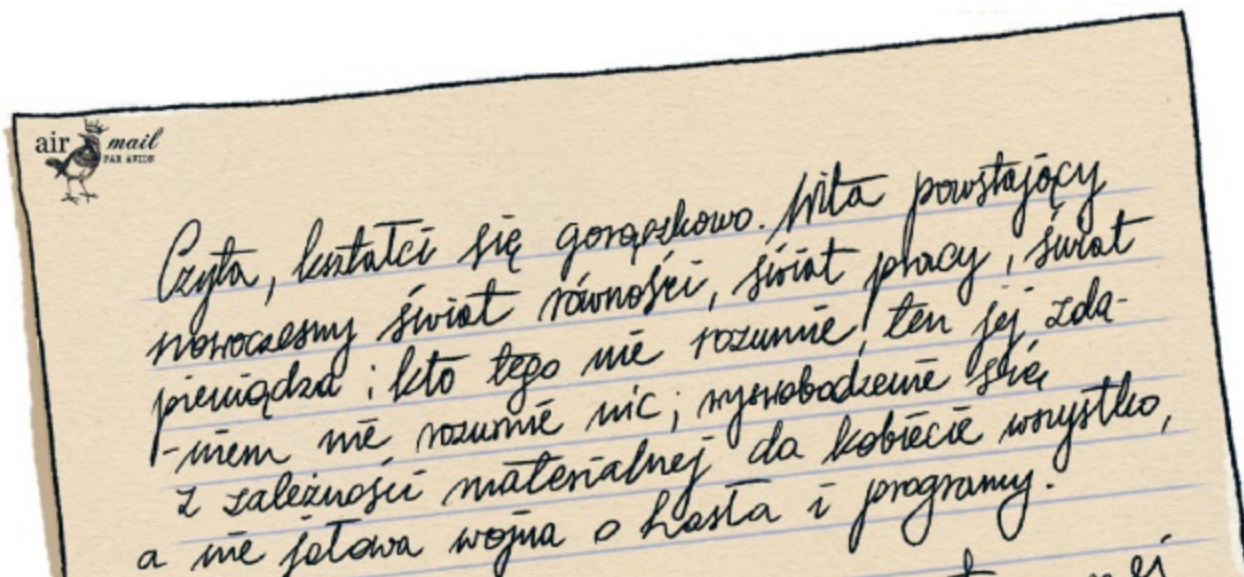


Żmichowska bardzo rozruszała środowisko kobiece, w latach 40. XIX wieku utworzyła grupę „entuzjastek”, składającą się z warszawskich emancypantek, zwolenniczek równouprawnienia. Sama Narcyza nawiązała kontakt z warszawskimi intelektualistami, zaczęła publikować artykuły w czasopiśmie „Przeglądzie Naukowym”, a opowiadania w „Pierwiosku”.

Wspominając ją kobiety różnie oceniają charakter Narcyzy. No, krótko mówiąc, nie wszyscy wspominają ją jako pełną uroku. Za to nikt nie odmawia jej charakteru. Rosyjskie władze zresztą zapewniły jej okazję, by udowodniła odwagę. Żmichowska spędziła najpierw

w więzieniu, potem w areszcie domowym kilka lat. Za co? „Za konspirację”. Prowadziła nielegalną wiejską szkołę w Rzeczycy, kolportowała nielegalną prasę przeciwko zaborcy. Zesłana w końcu została do Lublina, którego nie mogła przez pewien czas opuszczać.

Niepodległościowe ruchy uważała za nieskuteczne, zalecała walkę o realizację potrzeb jednostek. Kiedy wybuchnie w zaborze rosyjskim powstanie styczniowe (1863 rok), dawna konspiratorka, teraz głęboko przeciwna walce zbrojnej, wyjedzie na głuchą prowincję, by trzymać się z daleka. Chociaż poetka i pisarka, to u swoich wyznawczyń dławiła idealizm. Pieniądze to co innego: „Choćbyś się jak po zażyciu chininy bez opłatka wzdrygnęła, moja Wando rozmarzona, to jednak tego nie przeprzesz, że pieniądze są wolnością. Pieniędźmi ugruntuje się również równość małżeńską i władzę macierzyńską” – tłumaczyła pewnej idealistycznej (i szczęśliwej, warto dodać) mężatce, Wandzie Grabowskiej-Żeleńskiej. Syn Wandy całą młodość wysłuchiwać musiał peanów na cześć „Narcysi” i w pewnym momencie już wzdrygał się na samo wspomnienie o niej. Po latach poświęcił jej jednak długi, ciepły tekst wspomnieniowy! Oceniał ją tak:



Narcyza Żmichowska była wówczas kobietą absolutnie unikatową, bezkompromisową w propagowaniu swoich przekonań, charyzmatyczną. Zdarzało się i tak, że jej „wyznawczynie” nazwała jednego swojego syna Narcyz, a drugiego Gabriel („Gabryella” to pseudonim literacki Żmichowskiej). Ale dla sprawiedliwego wejrzenia na tę niezwykłą osobę należy też wspomnieć o całych zastępach jej wrogów, kobiet i mężczyzn. Może dlatego, że – jak na ówczesne czasy – była zbyt samodzielna w myśleniu i bezkompromisowa?



A sportsmenką?

HENRYK JORDAN

doktor z parku



Każdy chyba słyszał o tzw. ogródkach jordanowskich, czyli placach zabaw dla dzieci. A może nawet bawił się na takim placu? Stworzył je prawie 150 lat temu Henryk Jordan. Niezwykły człowiek, a przy tym skuteczny.

Pochodził z biednej rodziny, szlacheckiej wprawdzie, ale bardzo podupadłej. Gimnazjalna nauka Henryka w Tarnowie, wówczas pod zaborem austriackim, przypadła na czas wybuchu patriotycznych manifestacji w zaborze rosyjskim. Gimnazjaliści w Tarnowie nie chcieli być gorsi – w rezultacie za udział w manifestacji patriotycznej Henryk miał zostać relegowany (wyrzucony) ze szkoły. Upredzając represje, mama wysłała Henryka do Triestu (też

w cesarstwie austriackim, ale całkiem po drugiej stronie, nad Adriatykiem). Może na szczęście? Bo gdy najbardziej krewcy Polacy będą się przedzierać na ziemię zaboru rosyjskiego, by wspomóc powstanie styczniowe (1863 rok), Henryk będzie wtedy bardzo daleko.

Triest był i jest malowniczo położonym, ciekawym miastem, tyle że włoskojęzycznym. Jordan rzucony w wir szkolny, nie znając włoskiego, rok później zdał po włosku egzamin dojrzałości... z wyróżnieniem. Powtarza się znany schemat: zdolny, pracowity, to i ma sukcesy. (A co mamy robić my? Zwykli ludzie? 😊). Tacy ludzie, przynajmniej w XIX wieku, próbowali swoich sił w Ameryce.



W Nowym Jorku Jordan, który właściwie chciał zostać lekarzem, chwycił się różnych zajęć, by utrzymać się przy życiu. Między innymi nocami grywał na fortepianie w restauracjach (czy już mówiliśmy, że był zdolny?). Trafiła mu się jednak również praca dzienna – grał na zajęciach gimnastyki szwedzkiej dla dziewcząt i młodych kobiet. To był wówczas hit – tzw. system Linga, Szweda, który nękany przez choroby stawów – odkrył zbawienne skutki ruchu. Ciekawe, że coś, co dzisiaj wydaje się nam oczywistością, zostało odkryte nie tak w sumie dawno.

Kiedy sytuacja materialna Jordana poprawiła się, odbył praktyki położnicze w USA,

potem w Anglii, Niemczech, w Wiedniu, wreszcie osiadł w Krakowie. Był autorem wielu publikacji o położnictwie, angażował się w działania wielu instytucji związanych z medycyną, ale najważniejsze, że wymyślił WF. No tak, można powiedzieć, że to dzięki działaniom Jordana wprowadzono w szkołach obowiązkowe lekcje gimnastyki (zwane lekcjami WF-u, czyli wychowania fizycznego). Na Uniwersytecie Jagiellońskim organizowano kursy dla nauczycieli WF-u, pierwsze na ziemiach polskich. Gdyby dowiedział się, że w XXI wieku zapanuje w szkołach zaraza zwolnień z WF-u, padłby bez ducha!



Jordan cieszył się ogromnym uznaniem jako lekarz, leczył za pieniądze przedstawicieli elit (nawet żonę arcyksięcia Ferdynanda), a nieodpłatnie pacjentów najbiedniejszych. Dzięki bogatym ludziom, pacjentom albo ich wdzięcznym rodzinom, mógł realizować swoje pomysły. Najdziwniejszy był chyba taki, aby na Błoniach krakowskich powstał nieodpłatny ogród gier, zabaw i radości dla dzieci i młodzieży. Ogród taki, pierwszy w Europie, powstał w 1889 roku, a jak zapewniał jego twórca: „Ciągłe być poważnym i nieustannie pracować żaden człowiek nie zdoła. Zmęczone ciało wymaga odpoczynku, znużony umysł wymaga wytchnienia, a dusza pragnie wesołości, tego nastroju, który życie czyni miłszym”. Znajdowały się tam m.in. basen, 12 boisk (każde do innej gry), ścieżki zdrowia. A także 46 pomników wybitnych Polaków! Bo Jordan dbał o ciało, ale uważał, że dusza też jest ważna. No, a co to za dusza, która nie zna wybitnych Polaków? Dzisiaj... park ten istnieje, uff. Można tam nawet znaleźć pomnik sławnego misia-patrioty Wojtka, co to wojował w czasie II wojny światowej na Bliskim Wschodzie.

Były też sale do zajęć w razie niepogody. Jordan zadbał osobiście, by w parku działała wyszkolona kadra, której zadaniem było czuwać nad bezpieczeństwem podczas zajęć. Dbano również o różnorodność gier i zabaw, by nie dopuścić do nudy czy monotonii. A dla najbardziej wybijającej się sportowo młodzieży przeznaczył książeczki oszczędnościowe z wkładem pięciu guldenów.

Jako lekarz-położnik niejednokrotnie bywał w domach robotniczych, widział warunki,

w jakich żyli ich mieszkańcy. Założył Towarzystwo Tanich Mieszkań dla Robotników Katolickich. Zdobył sponsorów, dzięki czemu powstała kolonia dla ok. 100 rodzin robotniczych. Dla Jordana było istotne, żeby mieszkania spełniały wymagania higieniczne, miały elektryczność, wodociągi i kanalizację. A w parku zorganizował tzw. mleczarnię-stółkę dla dożywiania dzieci.



Niestety nikt nie jest doskonały... Doktor Jordan, ginekolog i położnik, był gorliwym przeciwnikiem równouprawnienia kobiet w dostępie do zawodu lekarza. Zawsze głosował przeciwko przyjmowaniu kobiet na Wydział Lekarski. Ups...

KRYSTYNA SKARBEK

z *Casino Royal*



Kola
członek
★★

02.05.2013 Kola napisał(a):

No i co, oto pierwszą dziewczyną Bonda była Polka, i to aktorka, tylko naprawdę. 😊
Poznając jej historię, to ona mi raczej pasuje na Bonda, a nie jego dziewczynę, superkobieta. 😊😊



Jadzia
użytkownik
★★

02.05.2013 Jadzia napisał(a):

Boże, znowu jest genialna historia i znowu żadnego filmu, ludzie przecież w Ameryce już kolejny serial by kręcili.



Loda
użytkownik
★★★

02.05.2013 Loda napisał(a):

Słynna kobieta-szpieg, w służbie Królestwa Wielkiej Brytanii, wielka Polka, co ci Anglicy by zrobili bez nas???? 😊😊



Tadeku
użytkownik
★★

02.05.2013 Tadeku napisał(a):

No, jasne! Dali jej po wojnie 100 funtów i uścisk dłoni, ciekawe, czy by im pomagała, gdyby przewidziała, że zostanie *bye, bye* porzucona.



Jola
członek
★★

02.05.2013 Jola napisał(a):

E, tam, prawdziwy skarb polski. 😊😊😊



Sosin
użytkownik
★★

02.05.2013 Sosin napisał(a):

Krystyna Skarbek, wielka kobieta, bohaterka, szkoda, że znana wszędzie, ale nie w Polsce. 😊

Była od dzieciństwa potworem. To znaczy była żywym, wysportowanym dzieckiem, które rozsadzała energia. W kolejnych szkołach patrzono przez palce na jej wybryki ze względu m.in. na jej inteligencję. Kiedy jednak jako 15-latka podczas nabożeństwa podpaliła sutannę księdza, podziękowano jej. (Broniła się, że chciała tylko sprawdzić, czy ksiądz wierzy wystarczająco mocno, by dokończyć mszę, a dopiero potem ugasić sutannę. Spotkało ją rozczarowanie, duchowny przerwał nabożeństwo).

Była córką dość niezwykłej jak na owe czasy pary – tata był zubożałym hrabią, a mama córką zamożnych żydowskich bankierów. Kiedy bank podupadł, Krystyna musiała sama stanąć na nogi. W jej życiorysie znajdziemy udział w konkursie Miss Polonia (ściśle finał), tytuł Miss Nart, bogatego męża, szybko porzuconego, kilka ciekawych romansów, udział w przemyśle papierosów i alkoholu, drugiego męża i, krótko mówiąc, materiał na trzy, cztery powieści o pięknej hrabiance z ADHD.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, Krystyna Skarbek była z mężem w Kenii i... mogła tam zostać. Ale nie została! Nie zdołała przedostać się do – już okupowanej – Polski, przyjechała więc do Wielkiej Brytanii.

I tak zaczęła się wielka przygoda Skarbek z Kierownictwem Operacji Specjalnych (SOE), którego stała się bardzo cenną agentką.

Została dokładnie przeszkolona, m.in. skakała ze spadochronu, używała broni, ćwiczyła się w zabijaniu nożem, liną, rękami i dostała wyróżnienie w tej przydatnej kobiecie specjalności. Była znakomita w tajnej komunikacji na terytoriach okupowanych. Zrzucano ją do pracy dywersyjnej na terenie Jugosławii, Węgier, Francji, okupowanej Polski. Kilka razy przedostawała się do Polski – najczęściej na nartach z Węgier, przez Słowację. Była znakomitą narciarką i generalnie przed wojną interesowała się sportem (co nie znaczyło, jak to dzisiaj bywa, że siedziała z pilotem przed ekranem telewizora). Z Polski wywoziła mikrofilmy, pomagała polskim pilotom dostać się do Wielkiej Brytanii. Niejako przy okazji romansowała. Z zasady z fajnymi facetami, którzy działali wraz z nią w konspiracji. Jeden z nich zasłynął anegdotą na temat... aresztowania Skarbek przez węgierskie gestapo:

NIEBEZPIECZEŃSTWO ZAWSZE WYZWAŁAŁO W KRYSI ADRENALINĘ, NIE UMIĘŁA BEZ NIEJ ŻYĆ. TO BYŁO CAŁE JEJ SZCZĘŚCIE. PODCZAS ARESZTOWANIA W BUDAPEŚCIE MIAŁA MINĘ, JAKBY SZŁA NA COCKTAIL PARTY.



Ci, co stykali się ze Skarbek, zawsze podkreślali jej patriotyzm. To Skarbek przekazała Brytyjczykom informację o koncentracji wojsk niemieckich przy granicach z ZSRR. Był rok 1941, Niemcy planowały inwazję na Związek Radziecki.



Najczęściej działała pod fałszywym nazwiskiem Christina Granville. Potrafiła udawać każdą kobietę świata, nawet pracownicę wywiadu niemieckiego! Skarbek / Granville słynęła z brawurowego wychodzenia z kłopotów.



W 1944 roku Skarbek zorganizowała wykupienie z rąk gestapo na południu Francji grupy dywersyjnej „Jockey”, podając się za siostrzenicę dowódcy wojsk brytyjskich, generała Montgomery’ego.

Brawurę Skarbek pokazuje też wkroczenie, w przebraniu, na teren getta w okupowanej Warszawie. Agentka próbowała przekonać swoją matkę do wyjścia z getta i wyjazdu. Nie udało się. To było chyba jej jedyne wojenne niepowodzenie.

Po zakończeniu wojny Krystyna pozostała w Wielkiej Brytanii. Jak o wielu bohaterskich Polakach również o niej szybko zapomniano i zostawiono bez wsparcia. Brytyjski wywiad nie potrzebował agentki-Polki. Pracowała jako sprzedawczyni, stewardesa, pokojówka. Życie osobiste miała wciąż barwne. Przez pewien czas romansowała z Ianem Flemingiem, twórcą powieści o Jamesie Bondzie. Najprawdopodobniej Fleming, pisząc *Casino Royal*, dziewczynę Bonda Vesper Lynd wzorował na Krystynie Skarbek. Wielbiciele Bonda i Skarbek uważają, że również postać Tatiany Romanowej z *From Russia with Love* jest inspirowana naszą rodaczką.

To nawet niespecjalnie dziwi, że Krystyna Skarbek nie umarła, lecz zginęła. Zakochany w niej po uszy Anglik wbił jej w serce nóż, kiedy oznajmiła mu, że wyjeżdża na dwa lata bez niego.

IRENA SENDLER

życie zamknięte w słoiku



Oczywiście, kłócić się tak, jak dwie dziewczynki na rysunku, jest średnio mądrze. W końcu każdy, kto podczas wojny narażał swoje życie w obronie prześladowanych, zasługuje na szacunek. Trochę szkoda jednak, że niezwykle zasłużona na tym polu Irena Sendlerowa jest mało znana. Bo była i bohaterska, i skuteczna (co warto podkreślać, bo często uczą nas w szkołach, że My byliśmy bohaterami, ale skuteczni – Oni).

Pomocą społeczną zajmowała się już przed wojną. Jako studentka polonistyki pracowała

w Sekcji Pomocy Matce i Dziecku przy Obywatelskim Komitecie Pomocy Społecznej. Jako młoda kobieta zaczęła też działalność w Polskiej Partii Socjalistycznej.

Ha, dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale przed wojną na niektórych uczelniach wyższych stosowano zasadę *numerus clausus*: ograniczano ilość miejsc dla studentów pochodzenia żydowskiego, wydzielano im miejsca w salach wykładowych, a w indeksach stawiano pieczątki po lewej stronie. Taki umowny znak: oho, Żyd! Tej praktyki nie uznała Irena. Jako studentka wykreśliła w swoim indeksie pieczętkę postawioną po „dobrej” stronie. Została za to zawieszona w prawach studenta. „Wychowana byłam w duchu, że obojętna jest sprawa religii, narodu, przynależności do jakiejś rasy – ważny jest człowiek!” – tak pisała w swoim życiorysie.

Przyszła wojna i pani Irena zaczęła walczyć z wrogiem potężnym i obłąkańczo pozbawionym skrupułów – niemieckimi nazistami. W konspiracji współdziałała z Radą Pomocy Żydom („Żegota”). Powierzono jej prowadzenie Referatu Opieki nad Dzieckiem. Jej bronią okazały się błyskotliwy umysł i słoiki.



O co chodzi z tymi słoikami? Nam kojarzą się z pysznymi dżemami, a Irenie każdy słoik służył do przechowywania karteczki z wszystkimi danymi dziecka żydowskiego, taka pamięć o ratowanym człowieku: „Było napisane prawdziwe imię i nazwisko dziecka, jego imię i nazwisko według metryki oraz miejsce aktualnego zamieszkania. Te dane były konieczne

dlatego, żeby móc dostarczyć pieniądze, ubrań, leków, no i w ogóle mieć jakąś, choćby minimalną kontrolę, czy nie dzieje się dziecku jakaś krzywda, no a po wojnie, aby móc je odnaleźć”.

Karteczki to tzw. lista Sendlerowej.

Miną lata, zanim pewien amerykański nauczyciel ze swoimi uczniami wystawi sztukę *Life in a Jar* (Życie w słoiku). Była to opowieść o Irenie Sendler i uratowanych przez nią żydowskich dzieciach.

Irena Sendler bywała w getcie jako pracownik Miejskich Zakładów Sanitarnych. Zdecydowała się wyprowadzać z getta ludzi, przede wszystkim dzieci, mimo czuwającej wszędzie niemieckiej żandarmerii. Dzieci po wydobyciu z getta umieszczane były w specjalnych punktach, w których pomagano im zaadaptować się do nowego środowiska. Następnie oddawano je pod opiekę rodzinie zastępczej lub siostrom w klasztorze.

NASZA AKCJA POMOCY ŻYDOM ZRODZIŁA SIĘ SAMORZUTNIE JUŻ W PIERWSZYCH DNIACH OKUPACJI JAKO NASTĘPSTWO KONKRETNEJ SYTUACJI. LUDZIE, KTÓRZY SIĘ W NIEJ ANGAŻOWALI, CZYNILI TO Z POBUDEK HUMANITARNYCH; BYŁ TO ODRUCH LUDZKI, KTÓRY NAKAZYWAŁ NIE POZOSTAWAĆ BIERNYM W OBLICZU NAJWIĘKSZEGO BARBARZYŃSTWA W STOSUNKU DO NASZYCH ŻYDOWSKICH WSPÓŁOBYWATELI.

IRENA SENDLER.



Jej intensywna działalność przerwana została przez Gestapo, które aresztowało ją w 1943 roku. Skazana na śmierć w ostatniej chwili została uratowana przez „Żegotę”, która przekupiła niemieckich strażników. Z nowymi fałszywymi papierami (jako Klara Dąbrowska), nie zważając na niebezpieczeństwo, nadal pracowała, ratując żydowskie dzieci!

Jeżeli pani Sendlerowa miała jakąś wadę, to skromność. Oczywiście, tak, tak, należy być skromnym, bla, bla, bla, ale trochę szkoda, że po wojnie niewystarczająco nagłośniono niezwykle przecież fakt uratowania od pewnej śmierci 2500 Żydów. Po wojnie Irena Sendlerowa pracowała społecznie w Wydziale Opieki Społecznej Urzędu Miasta Warszawy. W 1968 roku musiała przejść na przymusową emeryturę, bowiem komunistyczne władze oskarżyły ją o wykazywanie radości ze zwycięstwa Izraela w wojnie z Arabami. Władze popierały wówczas państwa arabskie, sojuszników ZSRR.



Amiga
użytkownik

14.08.2013 Amiga napisał(a):

Hej, robimy projekty o sławnych Polakach, macie kogoś ciekawego? Tylko żeby nie był przedpotopowy. 😊



Justyn
członek
★★

14.08.2013 Justyn napisał(a):

Możesz wziąć Irenę Sendlerową, ostatnio oglądaliśmy o niej film w szkole *Dzieci Sendlerowej*. Spoko. 😊



Amiga
użytkownik

14.08.2013 Amiga napisał(a):

O, nie słyszałam chyba, a filmu też nie widziałam. Ale to super, jeśli zachwalasz, to poszukam czegoś o niej.



Zyga
administrator
○○○

14.08.2013 Zyga napisał(a):

No co ty, nie słyszałaś o Irenie Sendlerowej? Fantastyczna kobieta, działała w podziemiu, ratowała z getta żydowskie dzieci. 😊 To ważne, bo nie wszyscy Polacy nie lubią Żydów. 😊 😊



Nurek
członek
★★

14.08.2013 Nurek napisał(a):

Taaak i ciekawe, że w latach 60., jak wyszukałem, w Izraelu odznaczono ją medalem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata, ale pojechała tam dopiero na początku lat 80., bo... nie dostała paszportu!



Amiga
użytkownik

14.08.2013 Amiga napisał(a):

Dzięki, wow, jestem dużo zapóźniona. Ok, wezmę Irenę, no i nie jest przedpotopowa. 😊



A TERAZ ORDER ORŁA BIAŁEGO
DLA... IRENY SENDLER

NO I PO CO TYLE KŁOPOTU...



ERNEST WILIMOWSKI



piłkarz skradziony przez Hitlera

W piłkę nożną można grać słabo (to doświadczenie większości z nas), dobrze, bardzo dobrze i tak jak Ernest Wilimowski, nasz największy czarodziej w historii tej dyscypliny.



Ileż dramatu może się kryć za krótką informacją agencji prasowej: „Zmarł Ernest Wilimowski, wielokrotny reprezentant Polski i Niemiec”... Rzecz w tym, że młody Wilimowski urodził się w Katowicach w rodzinie niemieckiej, w czasach, w których Polski nie było, a Niemcy owszem (1916 rok). Niedługo później jego ojciec zginął na froncie I wojny światowej, mama wyszła ponownie za mąż, tym razem za Polaka, pana Wilimowskiego. Chłopaka adoptował i wychował i tak dalej, dość, że Ernest zaczął grać w piłkę jako Polak.

Grał według prostej recepty: dostać piłkę, „przykleić” (tak to w każdym razie wyglądało) do nogi, biegać po boisku, mijając rywali, a kiedy przed oczami pojawi się bramkarz – strzelać obok niego. Stał się największą gwiazdą Ruchu Chorzów – wielokrotnego mistrza Polski – królem strzelców ligi, a wreszcie reprezentacji Polski.

W jej barwach zagrał mecz życia, jeden z tych kilku meczów, które tworzą legendę naszej

reprezentacji. W 1938 roku we Francji odbywały się mistrzostwa świata, pierwsze, w których brali udział Polacy. System był pucharowy, a wylosowaną przez Orły reprezentacją była bodaj najlepsza reprezentacja świata – Brazylia!

Zacząło się tak, jak spodziewali się eksperci. Brazylia szybko objęła prowadzenie. Co prawda Wilimowski doprowadził do faulu i nasi zdobyli gola z karnego, ale po pierwszej połowie schodziliśmy pokonani 1:3. W drugiej w Wilimowskim obudził się lew. W sześć minut zdobył dwa gole, a po utracie przez Polaków bramki strzelił jeszcze jednego. 4:4! Zaczyna się dogrywka i dopiero wtedy obudził się na dobre największy gwiazdor tych mistrzostw, Leonidas, strzelając naszej reprezentacji dwie bramki. Wilimowski odpowiedział jedną, ale trudno, stało się... Jeszcze dzisiaj mecz Polska – Brazylia uchodzi za jeden z najbardziej dramatycznych w dziejach mistrzostw świata!

A potem... przyszła wojna. Wilimowski, było nie było Niemiec z pochodzenia, otrzymuje propozycję podpisania volkslisty (niemieckiego obywatelstwa), przyjmuje posadę policjanta i zaczyna grać w niemieckiej lidze. W 1942 roku wystąpi nawet w meczu niemieckiej reprezentacji (z Rumunią). Gra bardzo dobrze – ze swastyką na piersi.

Po wojnie do Polski nie wrócił – było prawdopodobne, że miałby tutaj proces za swego rodzaju zdradę kraju, i to na rzecz III Rzeszy.

Tak to Hitler ukradł nam wspaniałego piłkarza. Jakie to szczęście, że dzisiaj wszystko wygląda inaczej.

JADWIGA JĘDRZEJOWSKA

człowiek rakietą



JUTRO ROZEGRAM NAJWAŻNIEJSZY MECZ W ŻYCIU. PRZEŻYWAM DZIWNE WZRUSZENIE, WIELKĄ RADOŚĆ, A JEDNOCZEŚNIE PRZYGIĘTA MNIE CIĘŻAR ODPOWIEDZIALNOŚCI. WIEM, ŻE TAM W MAŁYM DOMKU KRAKOWSKIM ZABUJĄ MOCNO SERCA, WIEM, ŻE MOI RÓWIEŚNICY Z PARKU KRAKOWSKIEGO Z DRZENIEM BĘDĄ OCZEKIWALI NA WIADOMOŚĆ, CZY DZIEWCZYNA, KTÓRA KIEDYŚ ZBIERAŁA PIŁKI, ZDOŁA ZWYCIĘŻYĆ.



W 2012 roku Agnieszka Radwańska, nasza najlepsza tenisistka i jedna z najlepszych na świecie, doszła do finału turnieju na Wimbledonie. Uważano to za największy sukces w historii polskiego tenisa. Zapomniano o sukcesie Jadwigi Jędrzejowskiej – pewnie dlatego, że miał miejsce przed wojną. W 1937 roku do finału Wimbledonu zakwalifikowała się Jadwiga Jędrzejowska. Za granicą nazywaną ją Jed lub Ja-Ja (ach, te trudności z wymową

polskich nazwisk...).

Nastoletnia Jędrzejowska zaczynała karierę w barwach AZS Kraków jako... „przynieś, podaj, pozamiataj”. Tenis był sportem dla zamożnych. Jadzia mogła co najwyżej podawać dżentelmenom i ich partnerkom piłki – tak w chwilach wolnych od szkoły zarabiała, wspomagając rodzinę.

Kiedy mogła, grała na podwórku. Z chłopakami. Tyle że koledzy dość szybko rezygnowali z gry z Jadwigą, była dla nich za silna.



Kiedy kilkakrotnie zagrała na korcie jako sparingpartner, dostrzeżono jej niezwykły talent. Szybko okazało się, że właściwie nie miała w Polsce równych sobie przeciwniczek. Jędrzejowska po raz pierwszy wyjechała na turniej za granicę w 1929 roku do Budapesztu, no i tam grając boso (!) na mokrym korcie, rozgromiła mistrzynię Węgier. Po powrocie zwyciężyła w mistrzostwach Polski w grze pojedynczej. (Regularnie wygrywała mistrzostwa kraju aż do... 1953 roku! A w 1938 roku otrzymała mistrzostwo Polski... nie grając, bo nie

było wystarczająco mocnej przeciwniczki!)

Dzisiaj najwięksi tenisiści na świecie zarabiają nieźle pieniądze, wówczas fundusze stanowiły podstawowe zmartwienie Jadwigi. Dużo wyjeżdżała, więc nie mogła pracować, bo nikt nie chciał zatrudnić kobiety, której przez wiele miesięcy w roku nie było w kraju. Dlatego też chętnie skorzystała z propozycji Legii Warszawa... Dzisiaj niejeden junior obśmiałby tę propozycję, którą Jadwiga przyjęła jak dar od losu: praca w przedstawicielstwie firmy Dunlop w zamian za używanie rakiet tej firmy. Wreszcie przyszły pieniądze – za reklamę mydła Palmolive.

W latach 1937–1938 dochodziła do finałów mistrzostw USA. „Musiała dopiero przyjechać mała Polka, żeby pokazać naszym tenisistkom, iż można przegrywać z uśmiechem” – tak pisały wówczas amerykańskie gazety. Wygrywała na kortach Rolanda Garrosa w Paryżu. Proponowano jej przejście na status zawodowca, ale nie chciała grać za pieniądze, wierzyła w sport amatorski. Odmówiła.

W rankingu światowym była klasyfikowana na 5 miejscu! W 1939 roku zdobyła tytuł wielkoszlemowy na mistrzostwach Francji, dalszą międzynarodową karierę przerwała II wojna światowa.

Podczas okupacji dała nie pierwszy dowód przywiązania do ojczyzny. Najpierw odrzuciła propozycję gry w Niemczech. Potem nie zgodziła się na wyjazd do Szwecji. Propozycję wyjazdu do Szwecji przedstawił jej funkcjonariusz... Gestapo. Okazało się potem, że to król Szwecji Gustaw V (zapałony tenisista, a swego czasu partner tenisowy Jadwigi) upominał się u władz niemieckich, by umożliwili Jędrzejowskiej wyjazd.

CO WIESZ O DZA... DŻADŻWYDZA DŻENDŻEDŻOWSKA?
CZY COŚ O NIEJ SŁYSZAŁŚ W DZIECIŃSTWIE?

MYŚLĘ, ŻE CHODZI O JADWIGĘ JĘDRZEJOWSKĄ, NIGDY
NIE WIDZIAŁAM JEJ GRY, ALE ZNAM JEJ NAZWISKO.
WIEM, ŻE BYŁA TU FINALISTKĄ WIELE LAT TEMU. NIE
PAMIĘTAM DOKŁADNIE ROKU, ALE TO BYŁO BARDZO
DAWNO TEMU I CHYBA PRZEGRAŁA TU W TRZECH SE-
TACH. CIESZĘ SIĘ, ŻE JAKO DRUGA POLKA WYSTĄPIĘ
W FINALE WIMBLEDONU.



MAGDALENA ABAKANOWICZ

bez niej nie mają sensu Polskie specjalności

Ludzie bez głowy	Odbudowa kraju	Praca za granicą	Skoki narciarskie
★★★★	★★★	★★★	★★★★



Badając człowieka, badam właściwie siebie. Miękkie formy zawierają w sobie nieskończoną ilość kształtów możliwych, z których tylko jeden jest przeze mnie wybrany jako właściwa forma znacząca. W salach wystawowych (...) istnieją razem ze mną, zależne ode mnie, ja zależna od nich. (...) Beze mnie, jak porzucone części ciała oddzielone od korpusu – nie mają sensu.



Zeroglanc:

Jakie techniki pani lubi najbardziej?



Będę zapewne zawsze porzucała
jedne techniki i materiały na rzecz
drugich, nie porzucając jednak
wątku wypowiedzi. Najciekawiej
jest posługiwać się techniką, któ-
rej się jeszcze nie zna.



Mała jasna:

No ale jakimi zasadami się pani kieruje?

Nie lubię reguł. Są wrogami
wyobraźni.





Magdalena Abakanowicz od dziecka tworzyła z pasją różne obiekty z różnorodnych materiałów. Może dlatego była bardzo rozczarowana nauką na Akademii Sztuk Pięknych? Bo musiała swoją wyobraźnię naginać do obowiązujących reguł i przepisów? Starła się nie podążać za modnymi prądami, na początku tworzyła wielkie gwasze (malunki za pomocą specjalnej, bardzo kryjącej farby gwasz) z motywami zwierzęcymi, roślinnymi, bardzo często pokrywała płótna rybami i ptakami.

Z czasem odkryła dla siebie tkaninę. To wtedy zaczęły powstawać jej najslawniejsze prace, tzw. abakany. Olbrzymie, wykonane tradycyjną techniką tkacką, z barwionego sizalu (bardzo twarde płótno).

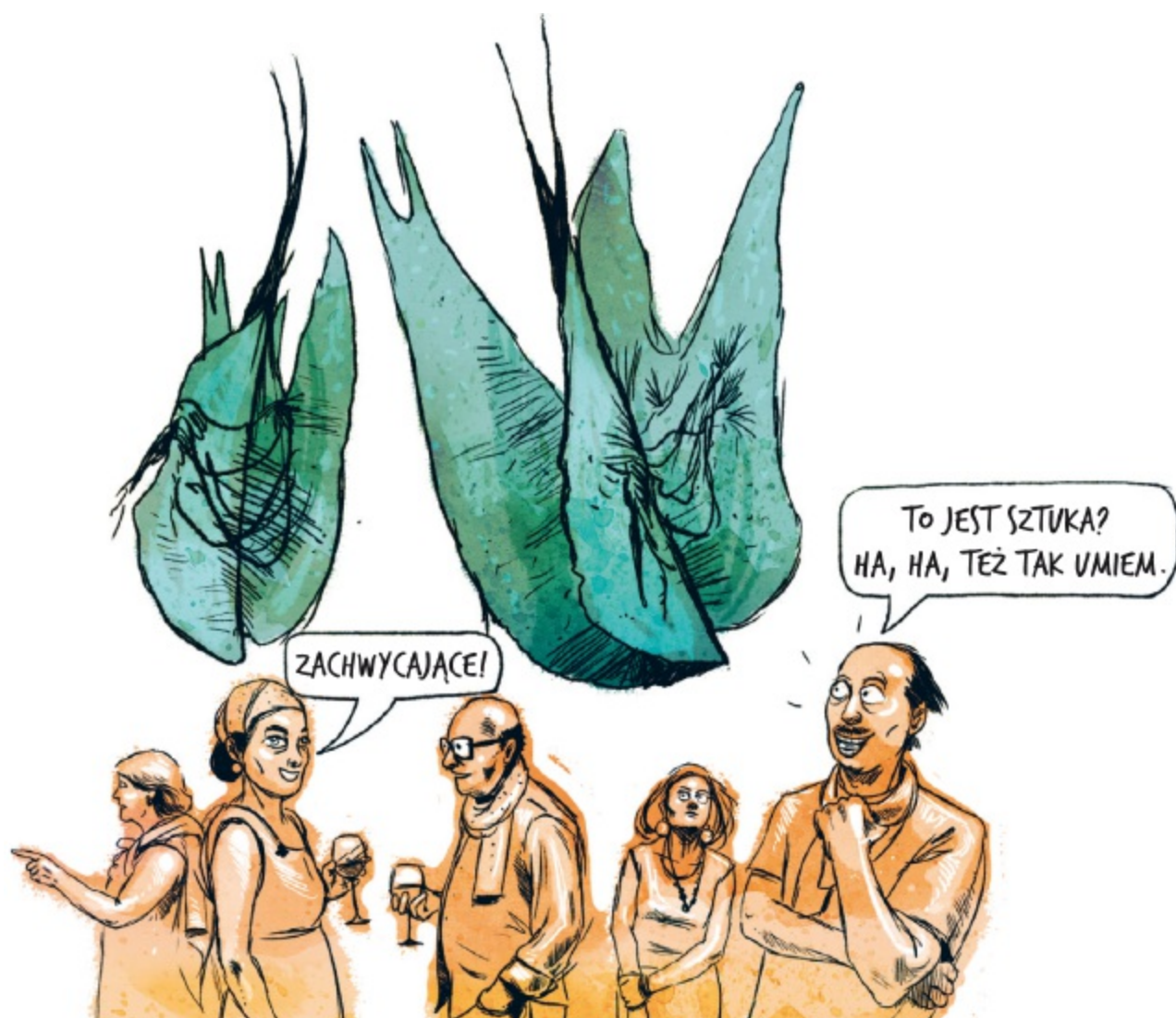
Nikomiu nie życzymy niezbyt szczęśliwego dzieciństwa. Ale wedle rodzinnej legendy mała Magdalena, urodzona w 1930 roku w ziemiańskiej rodzinie, pisywała co roku do św. Mikołaja list z prośbą, aby okazała się chłopcem. Podobno wszystkiemu winni byli rodzice (no tak, zawsze okazują się winni wszystkiemu 😊), utyskujący, że nie urodził im się chłopak. Kiedy wybuchła II wojna światowa, niezbyt fartowne dzieciństwo zamieniło się w wojenny koszmar. Uciekająca mama została postrzelona w łokieć przez Niemców („Pocisk oderwał prawy łokieć, ramię zwisało, a ręka stała się tylko kawałkiem mięsa oddzielonym od reszty ciała”, wspominała potem artystka), a kiedy wojna się skończyła, nowe, komunistyczne władze pozbawiły ziemiaństwo majątków i, ogólnie mówiąc, traktowały przedstawicieli tej grupy jak najgorzej.

Talent jednak, nawet w takich warunkach, dojrzewał. Pomógł Magdalenie dostać się,

mimo wszystkich przeciwności losu, na Akademię Sztuk Pięknych. Co prawda nie na rzeźbiarstwo, lecz na malarstwo – uczona komisja uznała, że Abakanowicz nie nadaje się na rzeźbiarkę.

W latach 50., kiedy Abakanowicz zaczęła tworzyć, w ówczesnej socjalistycznej Polsce, tzw. PRL-u, obowiązywał limit powierzchni mieszkania na osobę. Tworzenie rzeźb, które zabierały w mieszkaniu wiele cennych metrów, było zatem dodatkowo utrudnione. Dlatego też Abakanowicz tworzyła na Akademii Sztuk Pięknych, co prawda nieco się ukrywając, bo „legalnie” mogła tylko malować.

No cóż, jak mawia nadużywane powiedzonko, „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”.



Nie za bardzo uznawana w kraju, zdołała pokazać swoje pierwsze prace na wystawie w Lozannie w 1962 roku. Zaczęła się karuzela nagród.

☰ QUIZ:

Magda Abakanowicz nie była za młodu doceniana w Polsce, bo była:

- Kobieta?

- Zbyt młoda?
- Nowatorska?

Odpowiedzi można łączyć.

Za abakany Magdalena Abakanowicz zdobyła główną nagrodę na Biennale w São Paulo (Brazylia, 1965 rok), potem miała ponad 100 indywidualnych wystaw na całym świecie. Zaczęła tworzyć z płótna, drzewa, brązu i kamienia skorupowe fragmenty postaci ludzkich, grupując je po kilkadziesiąt figur. Niewyrobiona publiczność widzi tylko łyko i pakuły. Wyrobiona – zdobytą środkami artystycznymi Przestrzeń – powierzchnia pękała, pokazując głębię. Od 50 lat jest naszym podstawowym rzeźbiarskim „towarem eksportowym”, zarówno w muzeach, jak i... w parkach, w których stworzono jej możliwość stawiania wielkich i licznych figur, w tym w Tokio, Nowym Jorku, Chicago.

Utalentowana i odważna, czego każdemu wypada życzyć. Jak dobrze pomyśleć, nieutalentowanym też przyda się odwaga.

CYMBARKA



człowiek z żelaza

No nie, nie możemy, pisząc o Polkach, nie napisać chociażby o jednej, której największym osiągnięciem było życie rodzinne. Co prawda niezbyt łatwe dzisiaj do naśladowania, bo życie królewskie.

W 1973 roku na Wawelu odbył się ponowny pogrzeb króla Kazimierza Jagiellończyka. Był na nim obecny Otto von Habsburg, syn ostatniego cesarza Austro-Węgier Karola I, potomek księżniczki z mazowieckiego Płocka. Ta księżniczka mazowiecka z dynastii Piastów została wydana w XVI wieku za księcia austriackiego Ernesta Żelaznego z Habsburgów. No cóż, dobrali się nieźle. Cymbarka też była „żelazna”! Cymbarka, w rodzinnym Płocku zwana po prostu Cecylią, słynęła z piękności, aliści miała i inny niezwykły dar. Otóż dzielnie zgniatała rękami orzechy, ale również ręką wbijała gwoździe i łamała podkowy. Taki bonus do urody. (Sienkiewicz opisując w *Krzyżakach* Jagienkę, być może sugerował się postacią Cymbarki. Kto wie, o co chodzi, ten wygrywa).

W sumie ślub był intrygą, jak to zwykle bywa u królów. Odbył się w Krakowie i miał posłużyć realizacji politycznych planów Władysława Jagiełły. On to przecież, Jagiełło, pojął za żonę Jadwigę, która była przedtem zaręczona z Wilhelmem Habsburgiem. Wilhelm jednak musiał obejść się smakiem, mimo że bardzo się awanturował, kiedy zamiast Jadwigi zobaczył w Krakowie zatrzaśniętą bramę. Podobno nawet próbował pannę Jadwigę wykraść, ale nie wyszło. Teraz Jagiełło wynagrodzić chciał Habsburgom tamto upokorzenie i ofiarował bratu Wilhelma piękną i silną jak zgniatarka Cecylię. A przy okazji odciągnąć Habsburgów od dynastii czeskich Luksemburgów, którzy popierali Krzyżaków. Jagiełło chciał Krzyżaków strasznie bić, a nie mógłby tego robić, gdyby z pomocą przychodzili Krzyżakom Luksemburgowie – ci jednak nie mogliby przychodzić z pomocą, gdyby sami mieli konflikt z Habsburgami. Ot, normalna przedślubna kalkulacja.

Aby było jeszcze weselej, Ernest na wieść o pięknej pannie młodej z Polski przebrał się za

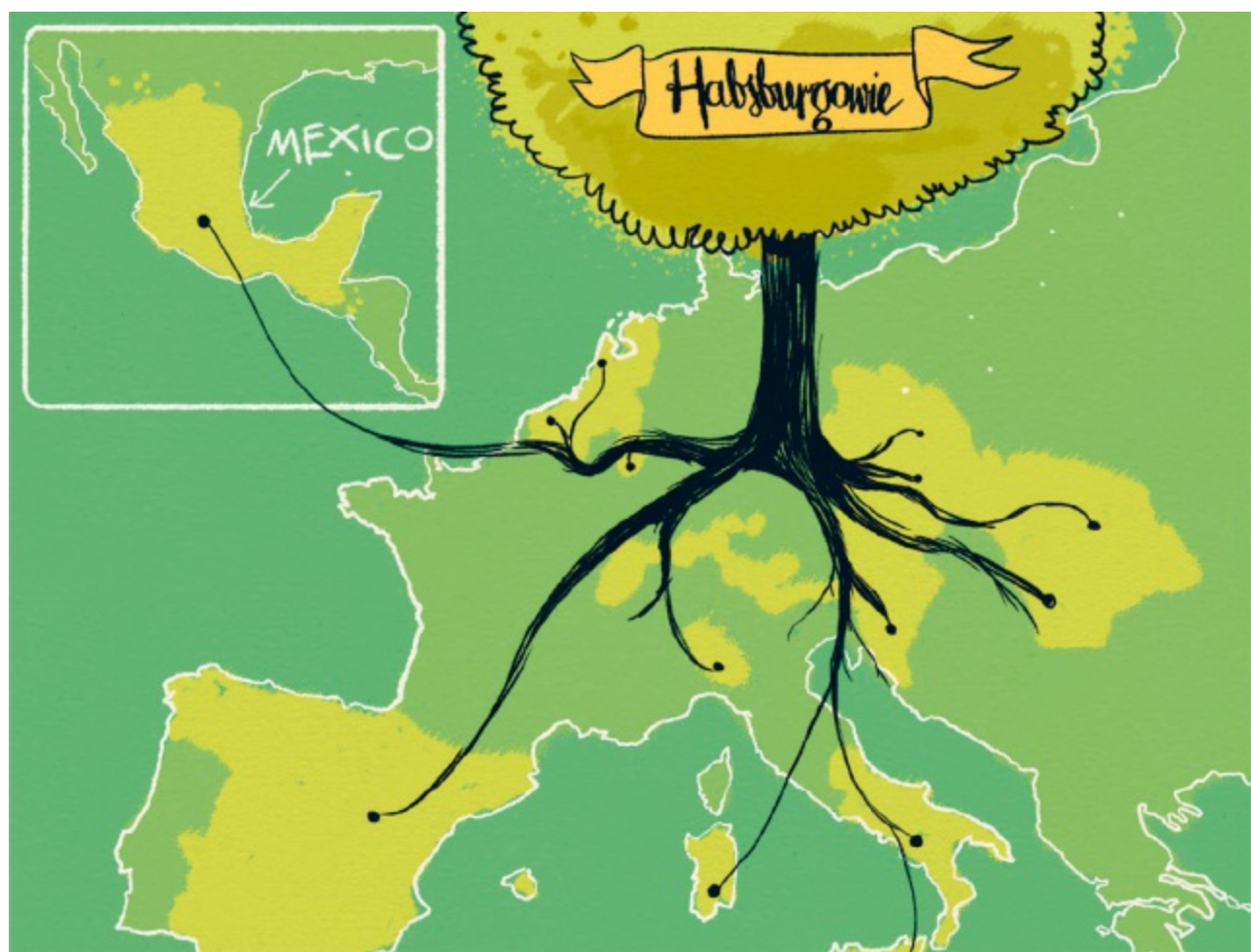
zwykłego rycerza i *incognito* przybył do Krakowa, by dowiedzieć się, jaka też ta Cymbarka jest.



Niewątpliwie skutek oglądu był bardzo pozytywny, bowiem mimo lekkiego oporu rodziny, zwłaszcza Wilhelma, Ernest Cymbarkę poślubił.



Nade wszystko Piastówna zapoczątkowała główną, tzw. ernestyńską linię dynastyczną Habsburgów. A Habsburgowie powoli realizowali plan: „Niech inni wojują, my będziemy się żenić”! Efekt polityczny tej idei był taki, że Habsburgowie zdystansowali inne dynastie, nie tylko w Europie!



Spośród dziewięciorga dzieci Cymbarki Fryderyk został cesarzem, a córki były dobrze wydawane za mąż. Na przykład Małgorzata została żoną księcia saskiego i to ona pewnie przekazała w genach siłę Cymbarki, bowiem August II Mocny miał taki przydomek, bo podkowy łamał (co prawda są złościcy, którzy mówią, że „mocny” był dlatego, że spłodził 300 nieślubnych dzieci).

Cymbarka była też babką cesarza Maksymiliana I (syna Fryderyka), który przeniósł swój dwór do Innsbrucka, stolicy Tyrolu. Flaga tego landu jest, ha, biało-czerwona.

Dwumetrowej wysokości figura Cymbarki znajduje się przy symbolicznym grobie cesarza Maksymiliana I w Innsbrucku.

Cymbarka żyła ok. 35 lat, urodziła 9 dzieci, pewnie czasami wbiła jakiś gwóźdź dla rozrywki, ale nie stroniła od polityki. To dzięki jej wpływom Aleksander (jej brat) został wybrany na biskupa Trydentu. Przedtem Aleksander mimo wsparcia i królewskich koneksji nie ukończył żadnego kierunku na Uniwersytecie Krakowskim. Cymbarka, wspierając brataniedojdę, wykazała się wielkim wyczuciem politycznym. A on? Na dworze biskupa Trydentu pojawiły się rzesze rodaków. To Cymbarka i biskup Aleksander dali zapewne początek wspaniałej polskiej tradycji obsadzania, gdzie się tylko da, członków własnej rodziny.

IGNACY ŁUKASIEWICZ

ten, który zapalił

Ignacy Łukasiewicz przyjaźnił się z Edwardem Dembowskiem – radykałem, narwańcem i patriotą szykującym w Krakowie wielkie powstanie szlachty i chłopów przeciwko... trzem zaborcom naraz. Łukasiewicz też chciał świat podpalić, ale tuż przed wybuchem powstania (1846 rok) trafił do więzienia.

Miał szczęście, że go Austriacy capnęli. Powstanie zakończyło się szybką i kompletną klęską – starczy powiedzieć, że polscy chłopci łapali po lasach polskich powstańców i zabijali, licząc na wdzięczność urzędników austriackich.



Władzetrzymały trochę Łukasiewicza w więzieniu, a następnie zesłały do Lwowa, zabraniając opuszczania miasta. Łukasiewicz zarzucił działania niepodległościowe i poświęcił się farmacji.

Farmacja dużo na tym skorzystała!



Naukę przerywał wielokrotnie z powodu braku pieniędzy. Wówczas praktykował w aptekach, zdobywając przy okazji bezcenne doświadczenie.

Naukę zakończył zwycięsko ze stopniem magistra farmacji uniwersytetu w Wiedniu.

Wykształcenie otwarło mu drzwi największej lwowskiej apteki: Pod Żółtą Gwiazdą. Apteka miała zaplecze laboratoryjne – i Łukasiewicza.



Łukasiewicz zainteresował się ropą naftową, bowiem ta ciemna maź od dawna uruchamiała wyobraźnię ludzi. Była używana jako lekarstwo na różne choroby na chybił trafił. Nie wiadomo, skąd powstał jednak mit o innych walorach ropy... Łukasiewicz w dużych ilościach otrzymywał ropę naftową od karczmarzy spod Borysławia, którzy bardzo wierzyli, że Mądry Pan Magister przetworzy ją na tanią, pyszną wódkę.



Ku rozpaczy galicyjskich karczmarzy wódka z ropy nie trysnęła. Kiedy sobie poszli, magister farmacji zabrał się ponownie do roboty. I w 1852 roku Łukasiewicz razem ze współpracownikiem Janem Zehem przeprowadzili pierwszą na świecie udaną destylację ropy naftowej. Wyodrębnili naftę!



Dla jasności: nasi rodacy za pomocą frakcjonowanej destylacji uzyskali w temp. 250 stopni Celsjusza preparat pozbawiony lekkich frakcji (benzyna) i oddzielili go w aparaturze od ciężkich węglowodorów (asfalty, oleje techniczne). Następnie rafinacją stężonym kwasem siarkowym udało im się otrzymać naftę. I proszę. Można? Można.

Uzyskane paliwo było wydajniejsze od świec i stosowanych wówczas do oświetlenia oleju i gazu. Pierwsza lampa naftowa, największy wynalazek Łukasiewicza, zapłonęła w marcu

1853 roku w aptece lwowskiej Mikolascha, w której pracował. W lipcu tego roku w lwowskim szpitalu na Łyczakowie doszło do pierwszej operacji przy świetle lampy naftowej.



Chirurg Zaorski operował panu Choleckiemu wyrostek robaczkowy, ratując mu życie i zapewniając pacjentowi miejsce w podręcznikach historii medycyny (farciarz).

Data ta jest uznawana na świecie za dzień narodzin przemysłu naftowego.

Dla Łukasiewicza to również ważny dzień. Wiedział, że bez niego świat tonąłby w mrokach dymiących świec i gazowych lamp.

Dla Austriaków to był zwiastun nowej ery – wynalazca wraz z dwoma współnikami założył pierwszą na świecie spółkę naftową i w Bóbrce koło Krosna otworzył pierwszą kopalnię ropy.

Dla Galicjan (mieszkańców Galicji, czyli części Polski podlegającej zaborcy austriackiemu), którzy zetknęli się z odkrywcą, to również był dobry dzień, bowiem Łukasiewicz dzielił się hojnie swoim bogactwem. Zbudował dwie szkoły (Bóbrka, Chorkówka), wspomagał powstańców styczniowych itd. Zdumiał innych biznesmenów, kiedy wprowadził emerytury dla pracowników.

W grudniu 1853 roku Łukasiewicz opatentował wynalazek w Wiedniu.

Miał naśladowców wszędzie na świecie.



W sierpniu 1859 roku w USA, na terenie Pensylwanii, konduktor kolejowy Edwin L. Drake i wynajęty przez niego kowal William A. Smith dokonali odwiertu we wsi Titusville pod Pittsburghiem, budując tam szyb naftowy. Wieść o łatwo dostępnych pokładach ropy sprawiła, że do amerykańskiego miasteczka zaczęły przybywać żądne bogactw tłumy. Zaledwie 3 lata później wydobywano w Pensylwanii ok. 3 mln baryłek ropy, a jej cena spadła z 10 dolarów do 10 centów za baryłkę.

To tak tajemnicze, że aż niewiarygodne, i tak niewiarygodne, że aż tajemnicze...



Oceńcie sami – Łukasiewicz przyjął wysłanników Standard Oil Company założonej przez samego Johna Rockefellera (przyszłego króla nafty!). Łukasiewicz przekazał Rockefellerowi bezinteresownie wszystkie tajniki swoich wynalazków! Znany był z przekonania, że lepiej wspomóc dziewięćdziesięciu dziewięciu niezasługujących na wsparcie, niż jednego potrzebującego pominąć.

No cóż, Rockefeller bardzo skutecznie stosował się do wskazówek Łukasiewicza, stał się miliarderem. Natomiast Łukasiewicz został odznaczony przez papieża Piusa IX Orderem św. Grzegorza Wielkiego oraz tytułem szambelana papieskiego.



MM > Ignacy Łukasiewicz

December 30, 2011 at 00:25

Dzień dobry, na swoich innych stronach pisał Pan o zastosowaniu nafty pichtowej na skórę twarzy. Chciałabym stosować ją w formie toniku. Czy wobec tego zastosowania również trzeba przestrzegać terminu „nie dłużej niż miesiąc stosowania”, by nie wywołać trądziku naftowego? Czy można stosować go nieprzerwanie?

 Lubię to • [Skomentuj](#) • [Udostępnij](#)

 Małgorzata, Robert i 2 inne osoby lubią to



Małgorzata Żeby nie łąpać kleszczy, trzeba raz do roku moczyć nogi w nafcie. To sposób starego hodowcy owiec, nie wiem, na ile skuteczny. Ciekawe, czy dotyczy również psów.

 Lubię to • [Odpowiedz](#)  1 January 19, 2013 at 10:27



Robert A gdzie to można kupić?

 Lubię to • [Odpowiedz](#) August 8, 2013 at 00:27

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI



jak Polakom nie udał się swój Rockefeller

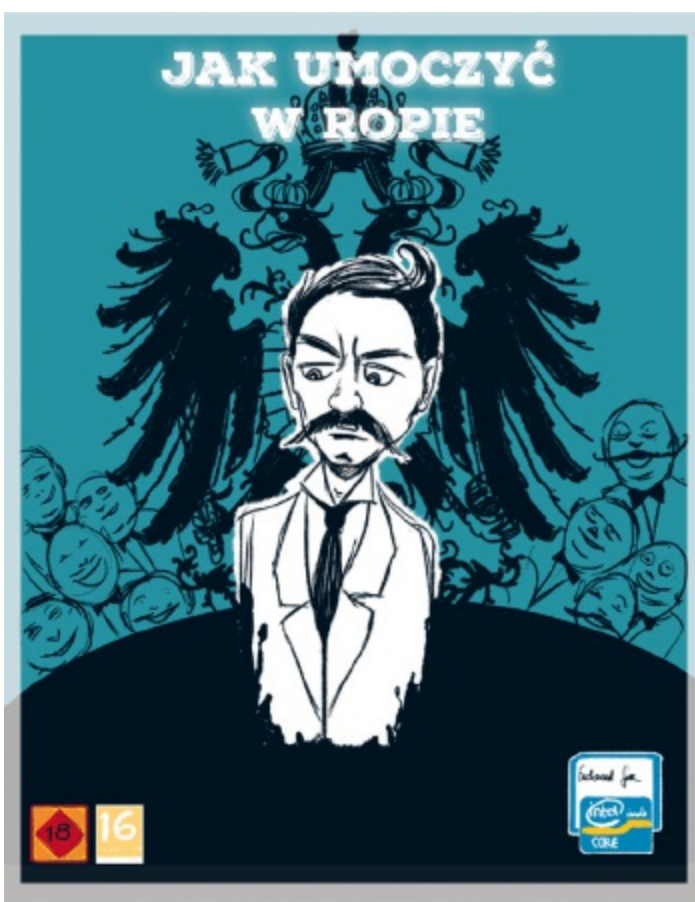
To jedna z najmroczniejszych historii narodu polskiego. Nie czytaj, jeżeli masz słabe nerwy. Ach, gdyby tak Stanisław Szczepanowski miał tyle wytrwałości i szczęścia, co Rockefeller... Nasz rodak był niezwykle, pełnym talentów człowiekiem – i poniósł klęskę.

Polityk, publicysta, przemysłowiec, a na początku urzędnik najbardziej cenionej w ówczesnym świecie administracji – brytyjskiej India Office. Zamiast piąć się po szczeblach pewnej kariery, rzucił wszystko i przybył do Galicji. Niepokoilo go, że przemysł galicyjski, a właściwie przemysłik, bo fabryk, kopalń i kolei było w tym zapóźnionym regionie Europy mało, jest niemal w całości w rękach austriackich finansistów. Kiedy odkryto bogate złoża ropy naftowej w Słobodzie Rungurskiej (brzmi egzotycznie? A to przecież obok Kołomyi), postanowił zacząć działać!

Pomysł był prosty. Trzeba zorganizować duży polski kapitał, dokonać poważnych inwestycji i doprowadzić do powstania potężnego polskiego ośrodka naftowego i przemysłowego pod Kołomyją. Szczepanowski, człowiek czynu, a przy tym naprawdę mózg, chciał budowy (uwaga, przenośnia!) fortecy polskiego przemysłu w Austrii. Jednak poszukiwanie chętnych do zainwestowania własnych pieniędzy rujnowało nerwy Szczepanowskiemu. Jedni nie chcieli, bo uważali, że skala pomysłu jest za duża. Inni, że „owszem, ja dam, ale tamten nie da i nic z tego nie będzie”.

Przyznać trzeba, że Szczepanowski miał pod górkę również w negocjacjach z władzami austriackimi. W zasadzie rząd Austrii był przychylny uprzemysłowieniu Galicji, bo przecież ta część Polski należała wówczas do Austrii. Tym razem jednak na władze naciskali przedsiębiorcy z Wiednia, którzy sami oblizywali się na myśl o roponośnych złożach Galicji...

Mimo ogromu przeszkód Szczepanowski rozbudowywał jednak inwestycje na polu naftowym. Jego kopalnia w Słobodzie była największą w Galicji. Działał, działał, budował,



budował, aż... Znacie taką modlitwę: „Panie Boże, uchron mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam”? Stanisław Szczepanowski tak się nie modlił i proszę: jak grom z jasnego nieba gruchnęła wiadomość o finansowych przekrętach w spółce. Okazało się, że jeden z jego przyjaciół zdobywał pieniądze na finansowanie inwestycji, fałszując księgi rachunkowe w swojej firmie. Nie kradł, broń Boże! Tylko pożyczał na złożny cel, nie dla siebie. W sumie żał człowieka, który chciał dobrze, a wyszło jak zwykle. Zmarł podczas procesu.

Sam Szczepanowski, chociaż niewinny, utracił prestiż i fabrykę. Nigdy już później żaden z polskich przedsiębiorców naftowych nie osiągnął takiej skali działania jak on.

BRYŁA I TRYLIŃSKI

—
stal i beton

Podaruj sobie odrobinę luksusu



Trylinka (sześciokątna gruba płyta betonowa stosowana w utwardzaniu nawierzchni dróg, składowisk i parkingów) dałaby radę słońcom. Najeżdżają na nią, nie czyniąc szkody, ogromne ciężarówki, a nawet sprzęt budowlany.

Nazwa pochodzi od nazwiska polskiego (jakżeby inaczej) wynalazcy Władysława Trylińskiego, który opatentował technologię układania twardej nawierzchni drogowej z betonowych płyt w 1935 roku. Wynalazł też powszechnie stosowane dzisiaj żelbetowe podkłady kolejowe.

A jeszcze bardziej zasłynął, razem z projektantem Stefanem Bryłą, konstrukcją pierwszego

w Europie spawanego mostu. Oczywiście chodzi o most na Słudwi w Maurzycach. No tak, to ten, który wybudowano w 1929 roku. 😊

Na początku XXI wieku uznany został za zabytek i przesunięty o kilkanaście metrów. Funkcjonuje jako pomnik techniki. Most wyremontowano w 2009 roku, aktualnie udostępniony jest zwiedzającym.



Alek
admin
000

20 wrz 2011, 21:51 Alek napisał(a):

Jeżeli ktoś przejeżdżałby tamtędy (autostrada A2), zachęcam do krótkiego odpoczynku i obejrzenia tego ciekawego zabytku. W pobliżu jest parking, niegdyś stał tam nieduży bar... obecnie baru nie ma...



Oskar
użytkownik
1

1 lis 2011, 14:32 Oskar napisał(a):

Witam, most ładny i ciekawy, czy były tam np. produkcje filmowe?



Nutek
członek
**

2 maj 2012, 15:02 Nutek napisał(a):

Spotkałem się ze źródłami twierzącymi, że jest drugi na świecie. Co miałyby być pierwsze, nie udało mi się dojść. Jednak zdecydowana większość źródeł podaje, że most nad Słudwią był pierwszy na świecie, więc rzeczywiście zostaniemy przy tej wersji. 😊

W 1913 roku w Nowym Jorku ukończono budowę Woolworth Building, najwyższego wówczas budynku na świecie. Przy budowie brał udział S. Bryła jako uznany międzynarodowy autorytet spawalnictwa. Bryła, mając za sobą amerykańskie doświadczenie, wyspecjalizował się jako jeden z nielicznych wówczas europejskich konstruktorów w budowaniu tzw. drapaczy chmur.



Był autorem drugiego co do wielkości budynku w Europie, pierwszego w Polsce, jedyne w Warszawie, słynnego 16-piętrowego wieżowca Towarzystwa Ubezpieczeń „Przezorność” znanego jako „Prudential”.

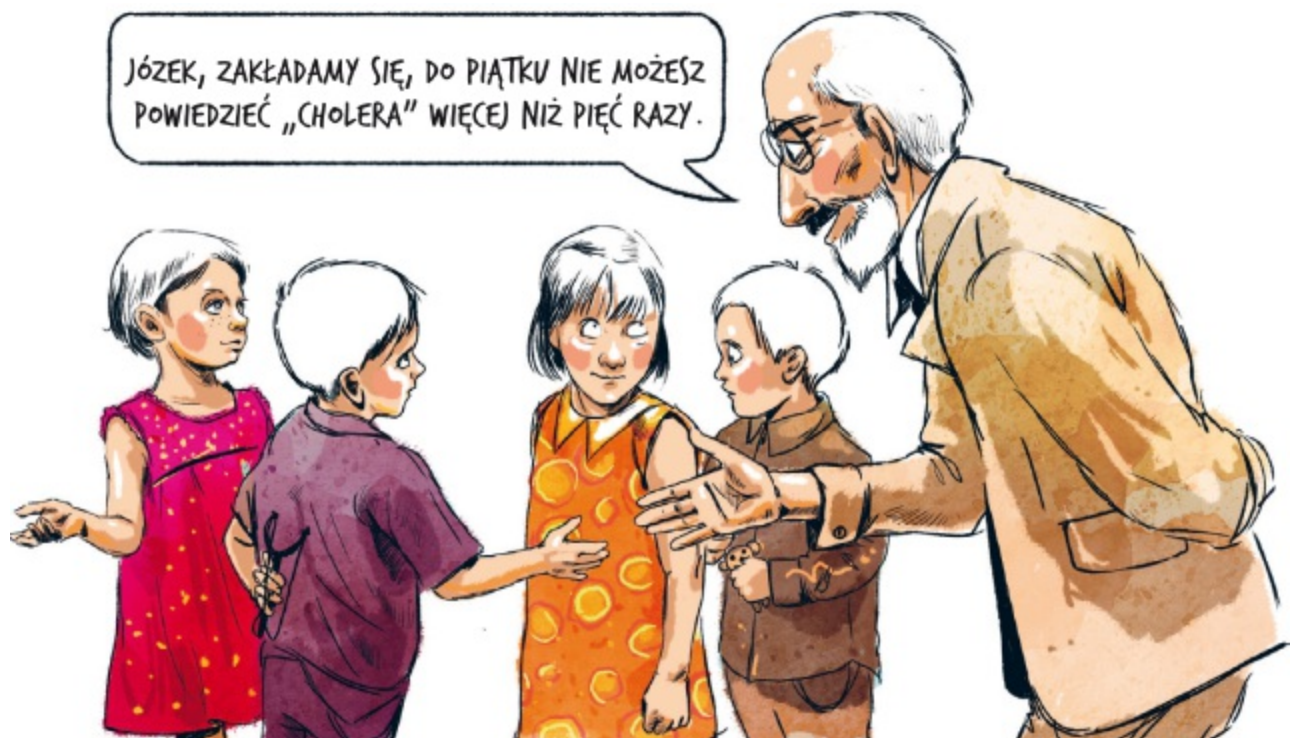
Bryła opracował też w odpowiedzi na wołanie Ministerstwa Robót Publicznych pierwsze na świecie przepisy spawania konstrukcji stalowych w budownictwie. Stały się one wzorem dla podobnych przepisów w innych krajach.

II wojna światowa przyniosła Bryle jeszcze jedno doświadczenie zawodowe, chociaż akurat dramatyczne i przeciwne jego misji konstruktora. Podczas okupacji hitlerowskiej napisał dla Armii Krajowej (a dokładnie dla Kedywu, elitarniej formacji bojowej AK) instrukcję *Jak niszczyć stalowe mosty...*

Ze smutkiem trzeba dodać, że „Prudential”, jak prawie całą Warszawę, Niemcy zniszczyli. (Jak wiadomo, Warszawę odbudowaliśmy, a dzisiaj budujemy nie takie gmachy – ale to zupełnie inna historia).

KORCZAK

„Nie ma dzieci, są ludzie”



To autentyczna anegdotka ilustrująca metody pracy znanego pedagoga Janusza Korczaka. Korczak zakładał się, aby dziecko mogło pracować nad sobą. W piątek następowało rozliczenie „dzieła” (za sukces nagrodą były trzy cukierki).

Korczak, właściwie Henryk Goldszmit, pochodził ze spolonizowanej żydowskiej rodziny. Bardzo szybko swoje życie związał z losem dzieci, podjął decyzję o niezakładaniu własnej rodziny, by swój czas w całości poświęcić sierotom. Być może na taki wybór wpływ miało jego własne dzieciństwo? Było jak w bajce, o małego Henia dbały nianie, bony... Jednak dorosły Korczak dzieciństwo wspominał jako samotne – pozbawione czułości rodziców.

W czasach gimnazjalnych był „molem książkowym”, czytał bardzo dużo. Publikując w 1900 roku felietony z cyklu *Dzieci i wychowanie*, podpisał je „Janusz Korczak” i tak już zostanie, pod tym nazwiskiem go znamy.

Po zdaniu matury studiował na Wydziale Lekarskim Cesarskiego Uniwersytetu w Warszawie, dyplom odebrał na początku roku 1905. W „nagrodę” otrzymał kartę powołania do wojska – do armii rosyjskiej – i został wysłany na front, Rosja toczyła wojnę z Japonią. Służył jako lekarz w pociągu sanitarnym.

Po wojnie pracował jako pediatra w szpitalu dziecięcym. Porządny lekarz 100 lat temu był społecznikiem.



Działalność w Towarzystwie Kultury Polskiej, chociaż nie mniej szlachetna od pozostałych, zirytowała władze rosyjskie, które na krótki czas uwięziły młodego lekarza. Jednak kiedy ponownie wybuchła wojna (1914 rok), lekarz był znowu potrzebny m.in. w przytułku dla chłopców w Kijowie. Kilka lat później, już w wolnej Polsce, służył jako lekarz w Wojsku Polskim w stopniu majora (1920 rok).

Pozostaje zagadką, jak człowiek z takimi przeżyciami zachowuje pogodę ducha.

Korczak dużo publikował – albo dla dzieci (kto nie słyszał o *Królu Maciusiu?*), albo dla dorosłych o dzieciach (*Dziecko salonu*, *Jak kochać dziecko*, *Żartobliwa pedagogika*).

Pod koniec lat 30. współpracował z radiem, nadając audycje jako „Stary doktor”. Wydawał dla dzieci i młodzieży żydowskiej „Mały Przegląd”, największą ówczesną polskojęzyczną gazetę żydowską.

Jednak jego podstawowym miejscem pracy był Dom Sierot w Warszawie. Korczak zawsze podkreślał, że najlepszym miejscem do wychowania jest rodzina. A jeśli jej nie ma, to „zastępczą rodziną” będzie środowisko rówieśników. Zarządzane... demokratycznie.

DEBATA SEJMU NAD POSTĘPOWANIEM DOKTORA KORCZAKA.

NA SZCZĘŚCIE ZA
NASZYCH CZASÓW
NIE BYŁO TELEFO-
NÓW KOMÓRKOWYCH
I MIELIŚMY CZAS NA
WYCHOWYWANIE SIĘ!



UWAŻAM, ŻE KARA CIELESNA WYMIERZONA JÓZKOWI PRZEZ DOKTORA JEST NIEŚLUSZNA.

CO JA PACZĘ!

A SKĄD JÓZEK MÓGŁE WIEDZIEĆ, ŻE STASIEK NOGĘ ZŁAMIE, WYSZEDŁ PRZECIEŻ TYLKO NA CHWILĘ POGADAĆ Z KAZIĄ.

ALE JÓZEK NIE DOPILNOWAŁ MAŁEGO STASIA, KTÓRY ZŁAMAŁ SOBIE NOGĘ, A TO BYŁ JEJEGO OBOWIĄZEK.

PROSZĘ O GŁOS. OCZYWIŚCIE MOGĘM JAKO WYCHOWAWCA WYMIENIĆ KILKA ZAGROŻEŃ, CO BY SIĘ MOGŁO STAĆ, GDYBY JÓZEK NIE PILNOWAŁ MAŁEGO STASIA, MOGĘM NAKAZAĆ POSŁUSZEŃSTWO, ALE WAŻNIEJSZE DLA MNIE I DLA WAS JEST WYOBRAŹNIA, KONTROLA SWOJEGO ZACHOWANIA. JÓZEK POWINIEN BYŁ PRZEWIDZIEĆ, ŻE MAŁY STAŚ MOŻE ZROBIĆ COŚ NIEDOBREGO, KIEDY ZOSTAWI GO SAMEGO, TO JEST BRAK ODPOWIEDZIALNOŚCI.

ALE JÓZEK JEST NIEWIELE STARSZY OD STASIA, TEŻ NIE POMYŚLAŁ.

JÓZEK NIE PRZYPILNOWAŁ, ALE ZAWSZE JEST POMOCNY, WCZORAJ POMAGAŁ MI W MATEMATYCE, HELI POMAGAŁ WIESZAĆ PRANIE. MOGŁE MU PAN DAROWAĆ TEN JEDEN RAZ.

DOKTOR KAZAŁ MU PILNOWAĆ I JUŻ, NIE MA GADANIA, NIE DOPILNOWAŁ.





PODCZAS TEGO WŁAŚNIE RAZU STASIEK
ZŁAMAŁ NOGĘ, JÓZEK MUSI SAM ZROZUMIEĆ,
MUSI PONIEŚĆ KONSEKWENCJE SWOJEJ
NIEODPOWIEDZIALNOŚCI. W DOROŚŁYM ŻYCIU
ZA WSZYSTKO SIĘ ODPOWIADA, TERAZ JUŻ
MUSICIE UCZYĆ SIĘ TEJ PROSTEJ ZASADY.

Korczak dzieci traktował bardzo poważnie, właściwie jak dorosłych, uważał, że tylko tak mogą przygotować się do dorosłego życia.

Założony w 1912 roku Dom Sierot dla dzieci żydowskich na ulicy Krochmalnej w Warszawie prowadził do końca, czyli do 1942 roku. Korczak był bardzo dobrze zorientowany w ówczesnej myśli pedagogicznej, ale nie opowiadał się za żadną konkretnie. Swoją metodę tworzył metodą prób i błędów. Uważał, że wychowawca ma sam siebie obserwować i wyciągać wnioski.

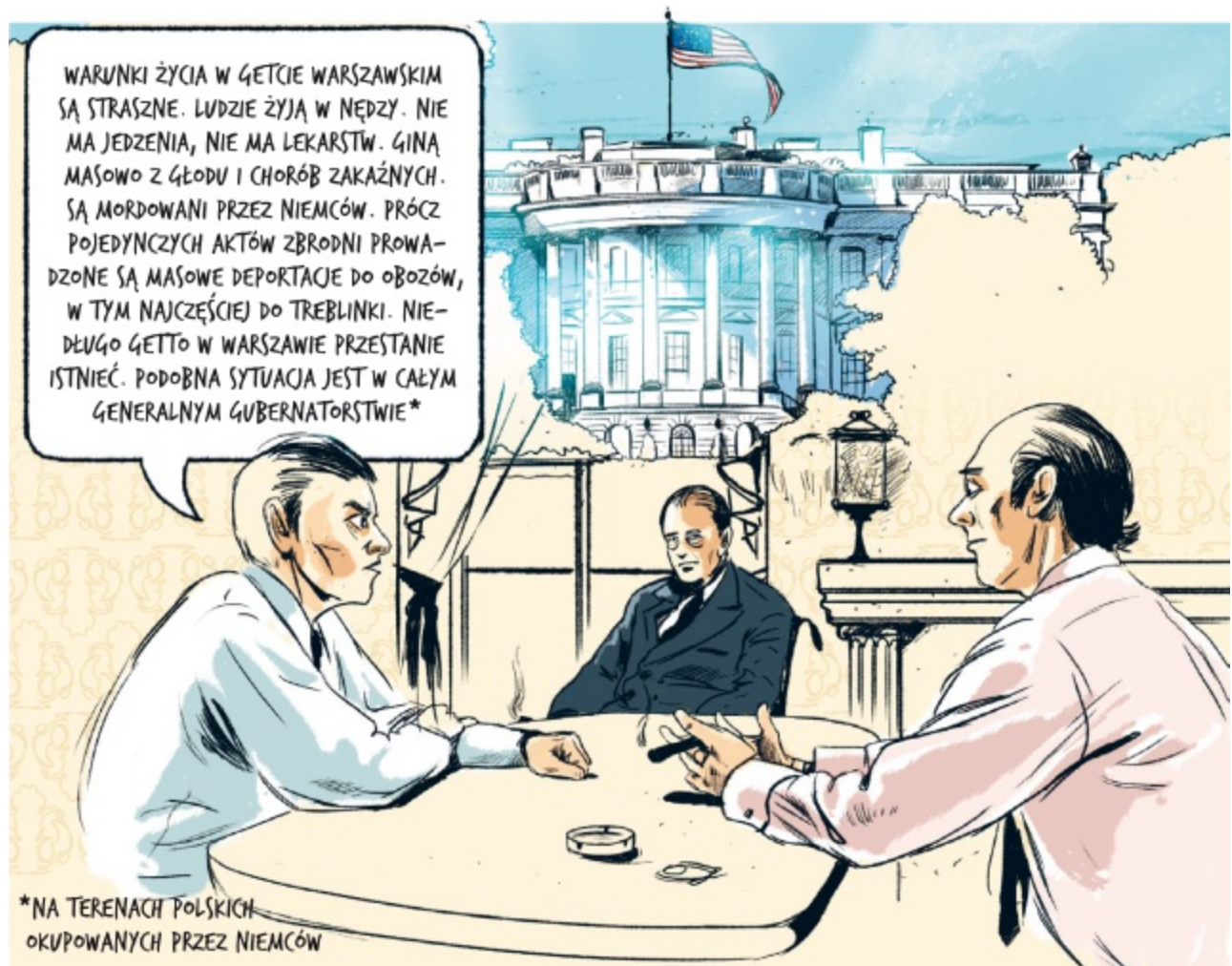
Twierdził, że i rodzic, i wychowawca mają prawo się mylić, ale nie mają prawa nie wyciągać wniosków z błędów, nie zadawać sobie pytań. Choć pewnie wielu rodzicom byłoby trudno zaakceptować np. takie podejście. „Może do pokoju małego dziecka potrzeba nie linoleum, a furę zdrowego, żółtego piasku, sporą wiązkę patyków i taczkę kamieni?”.

Kiedy na terytorium Polski wkroczyli w 1939 roku szaleńcy z Niemiec, Dom Sierot znalazł się w piekle. Najpierw utworzone przez Niemców getto w Warszawie, a potem wywózka do obozu zagłady w Treblince. Doktor Korczak i jego mali wychowankowie zostali tam zamordowani. Hitlerowcy nie zgłębiali pedagogiki Korczaka, nie szanowali dzieci, dorosłych zresztą też, bo nie szanowali życia.

KARSKI

bohater pogrążony w rozpacz

Rok 1943, Waszyngton. Rozmowa, która mogła wpłynąć na los milionów ludzi...





Po dziś dzień toczą się spory, dlaczego prezydent USA Franklin D. Roosevelt nie przejął się relacją przywiezioną mu przez kuriera z Warszawy. Prawdopodobnie uznał, że okrucieństwo wobec Żydów, którego skali nie pojął, było po prostu jednym z „normalnych” okrucieństw tej wojny. Wojny, w której nie ma powodu rozpraszać sił na różne operacje, np. zbombardowanie obozów koncentracyjnych. Trzeba się skupić na przygotowywaniu uderzenia na Niemcy. (Do inwazji tej dojdzie w czerwcu 1944 roku).

Jan Karski, żołnierz polskiego podziemia i młody przedwojenny prawnik, wyostał się z kraju, aby przekazać światu prawdę o niemieckiej okupacji w Polsce. Szczególną rolę odgrywała prawda na temat realizowanej z zimną krwią całkowitej zagłady Żydów. Zagłada była ukrywana przez władze niemieckie, pozorowano „wywózki”, „pracę przymusową”, „koncentrację Żydów w odpowiednich dzielnicach (getto)” itd.

Losy kuriera były filmowe – chociaż, niestety, smutne, mimo wykazanego bohaterstwa.

Podczas jednej z misji kurier wpadł w ręce Gestapo na Słowacji. Torturowany, bojąc się, że może podczas dalszych tortur kogoś zdradzić, próbował popełnić samobójstwo („Nie byłem widać materiałem na bohatera”, stwierdzi później). Uratowany przez lekarzy, został przewieziony na okupowane ziemie polskie, do szpitala w Nowym Sączu. Polski konspiracyjny Związek Walki Zbrojnej przeprowadził błyskotliwą i zakończoną sukcesem operację wykradzenia z trudem poruszającego się więźnia.

Karski po powrocie do zdrowia wrócił też do działalności konspiracyjnej w Biurze Informacji i Propagandy Armii Krajowej.

Przedostawał się kilka razy do getta warszawskiego. Był świadkiem sceny, która prześladowała go przez całe życie: kilku młodych Niemców strzelało dla rozrywki do przemykających ulicami wynędzniałych Żydów. Młodzi zachowywali się jak na polowaniu, śmiali się, gratulowali sobie dobrego strzału... W przebraniu ukraińskiego żołnierza z oddziałów pomagających Niemcom dostał się do obozu przejściowego dla Żydów w Izbicy. Opisywał potem: „Spędziłem w obozie około godziny. Wyszedłem chory. Miałem napady torsji. Wymiotowałem krwią. Widziałem tam przerażające rzeczy. Sam bym nie uwierzył, gdybym tego nie zobaczył”.

Na jego raport składały się dokumenty w postaci mikrofilmów i świadectwo naocznego świadka, jakim był Karski. Kurier przedstawiał plan pomocy, wskazówki dla zachodnich rządów (co mają zrobić, aby powstrzymać Zagładę). W USA spotykał się z wieloma politykami, przedstawicielami Kościołów, z artystami i producentami filmowymi. Spotykał się z niedowierzaniem. Uważano często, że przesadza w swoich opisach.

Będąc w USA, napisał *Tajne państwo*, opowieść o walce Polaków z okupacją. Jeździł na dziesiątki spotkań, występował w mediach itd. Jego książka sprzedała się w ogromnym nakładzie (400 tys. egzemplarzy). Jednak jej autor nie uważał się za bohatera. Przeciwnie, uważał, że zawiódł. Że nie wypełnił przyrzeczenia, które złożył w getcie warszawskim podczas spotkania z grupką dzielnych aktywistów żydowskiego podziemia.

WIELU POLAKÓW CIERPI, GINIE... NARÓD JEDNAK TRWA.
PO WOJNIE ZNÓW BĘDZIE POLSKA. TYLKO NAS, ŻYDÓW,
JUŻ TU NIE BĘDZIE. ZNIKNIĘ CAŁY NASZ NARÓD. HITLER
PRZEGRASWĄ WOJNĘ PRZECIWKO LUDZKOŚCI, DOBRU
I SPRAWIEDLIWOŚCI, ALE NAS PO PROSTU WYMORDUJE.



CHCĘ PRZEKAZAĆ WASZ APPEL DO ŚWIATA.
ZROBIĘ TO UCZCIWIE. CO CHCECIE, ABYM
POWIEDZIAŁ W IMIENIU ŻYDÓW?



CHCEMY, ABY RZĄD POLSKI W LONDYNIE
I RZĄDY ALIANCKIE ZROZUMIAŁY, ŻE
JESTEŚMY BEZRADNI WOBEC TEGO, CO
Z NAMI ROBIĄ NIEMCY. NIKT W POLSCE
TEŻ NAM NIE JEST W STANIE POMÓC.
POLSKIE PODZIEMIE JEST W STANIE
URATOWAĆ NIELICZNYCH. NIEMCOM NIE
CHODZI O TO, ABY ZROBIĆ Z NAS NIE-
WOLNIKÓW, JAK Z POLAKÓW. IM CHODZI
O ZGŁADZENIE WSZYSTKICH ŻYDÓW. NA
TYM POLEGA RÓŻNICA!





Po wojnie został w Ameryce, wykładał na uniwersytecie, bronił dobrego imienia Polski.

POLAK POTRAFI

Stefczyk, nauczyciel przedsiębiorczości



Zabór austriacki w XIX wieku, czyli Galicja, był gospodarczo raczej zacofany. Za dużo ludzi mieszkało na wsi, przemysł był mało rozwinięty i nie potrzebował setek tysięcy rąk do pracy. Wielu chłopów opuszczało Galicję i jechało na sam koniec świata, do Brazylii albo USA. Franciszek Stefczyk natomiast zrobił inaczej – kraju nie opuścił i zrobił karierę.

Był synem chłopskim, ale od dzieciństwa uczył się, jako nastolatek czytał i prenumerował gazety, ba, rozprowadzał je wśród galicyjskich chłopów. Dzięki pomocy rodziny zdał na studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z początku skupił się na historii, następnie

zainteresował się ekonomią, którą studiował na niemieckim (i sławnym wówczas) uniwersytecie w Wiedniu. Uczęszczał na wykłady na temat niemieckich spółdzielczych kas oszczędnościowo-pożyczkowych zakładanych przez Fryderyka Raiffeisena. Tak go to zakreśliło, że wyjechał do Westfalii (region w Niemczech), by na własne oczy zobaczyć działające kasy. Do poduszki podczytywał *Związki kas pożyczkowych jako środek zaradczy przeciwko biedzie ludności wiejskiej, a także miejskich rzemieślników i robotników* Raiffeisena. (Czytelniku! Czytelniczko! Niech to będzie dla Ciebie znak, że o lektury trzeba dbać).

Stefczyk napisał doktorat z dziejów średniowiecznego władcy Bolesława Śmiałego, jednak los chłopski był mu nie mniej bliski niż los króla z XI wieku. Rok 1890 jest raczej niedoceniany w polskich podręcznikach do historii, a przecież był to rok odkrycia Ameryki. No, tak mniej więcej. 😊 Stefczyk otworzył w Czernichowie pod Krakowem (gdzie uczył historii w szkole!) pierwszą na ziemiach polskich kasę oszczędnościowo-kredytową.

☰ Kasa musiała:

- nie zbankrutować,
- pożyczać na bardzo mały procent drobnym rolnikom,
- uczyć oszczędności i dobrego użytku z pieniędzy.

Uff. Dlaczego członkowie kas nie mogli po prostu pójść do banku w mieście i wnioskować z sukcesem o „normalny” kredyt? To w sumie łatwo zrozumieć. Po pierwsze, banki wymagały jakiegoś zabezpieczenia dla pożyczki, a niezamożni chłopcy takim zabezpieczeniem nie dysponowali. Po drugie, banki nie wierzyły, że z niewielkiej produkcji rolnej można spodziewać się w ogóle jakichś zysków. Po trzecie, świat miejskich banków był dla prostego rolnika światem obcym, do którego podchodził z taką samą ufnością, z jaką naziol podchodzi do tęczy.



Kasa działała według innej filozofii. Była stowarzyszeniem, a nie bankiem komercyjnym. Zabezpieczeniem pożyczki byli wszyscy członkowie kasy. Pilnowano się nawzajem, liczone grosze i uczono solidarności. Łatwo się o tym pisze, trudniej było wprowadzić kasy do rzeczywistości polskiej wsi. W wielu regionach zamieszkałych przez polskich chłopów ta sztuka udała się: chłopci wnosili swoje udziały, często bardzo niewielkie, oszczędzali i mogli z niskim procentem pobierać z kasy kredyty. Jedną z ważnych zasad była społeczna (!) praca ich zarządów.

W niepodległej Polsce, po 1918 roku, Stefczyk kierował Centralną Kasą Spółek Rolniczych, był współtwórcą i prezesem Związku Spółdzielczości Rolniczych. Publikował wiele prac dotyczących spółdzielczości.

W 1993 roku, kiedy Polska wychodziła z komunizmu i przechodziła na gospodarkę wolnorynkową, powstały SKOK-i, czyli Spółdzielcze Kasy Oszczędnościowo-Kredytowe. Spośród 50 SKOK-ów Kasa Stefczyka jest największą. Eksperci uważają jednak, że dzisiejsze kasy i te sprzed lat nie mają wiele wspólnego. Ich zarządy pracują za pieniądze, a działalność kas niewiele różni się od działalności zwykłych banków, poza tym, że nie są tak dokładnie kontrolowane, jak banki.



Anatol
członek
★★

2013.11.10, 19:20 Anatol napisał(a):

Znakomity patron dzisiaj, którego idee ewangelicznej pomocy ubogim służą jedynie do budowania i uwiarygodniania wizerunku potężnej instytucji finansowej. (...) Oj, zafrasowałyby się pan Stefczyk, widząc taką hucpę i drwinę z idei ewangelicznych... Miało być przecież nie dla zysku, lecz...



Juda
członek
★★

2013.11.10, 20:01 Juda napisał(a):

Dr Franciszek Stefczyk był prekursorem, oddanym orędownikiem solidaryzmu społecznego. Był skutecznym patriotycznym Polakiem, został więc w pamięci tych jemu współczesnych WIELKIM. (...) Moi już nieżyjący rodzice powiadali, iż tylko dzięki Kasom Stefczyka udało im się osiągnąć pewien stan posiadania, budowa domu i pomieszczeń gospodarskich możliwa była dzięki pomocy prawdziwych, a nie lichwiarskich banków. Zatem ocena współczesnych była niesamowicie pozytywna. W połączeniu z prospołeczną polityką wewnętrzną władz Polski po odzyskaniu niepodległości ludzie kreatywni dostali pomoc i byli dumni ze swoich osiągnięć. Tak więc idee F. Stefczyka się sprawdziły, a lichwiarzom to piasek w oczy i tyle.

JERZY OWSIAK



radosny atak czerwonych serduszek

Hasło finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy z roku 2014 brzmiało: Na ratunek. Chodziło o doinwestowanie szpitalnych oddziałów ratunkowych, które potrzebują nowoczesnych urządzeń, aby lekarze mogli szybko i prawidłowo zdiagnozować chore dzieci. Czy działalność Jerzego Owsiaka nie przypomina trochę działalności społeczników z XIX wieku? Tyle że jest głośniejsza!

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, współtworzona i kierowana przez Owsiaka, od 1993 roku zbiera środki, które umożliwiają zakup specjalistycznego sprzętu medycznego dla dzieci, a od 2013 roku – również dla seniorów. Pierwsza zbiórka z 1993 roku była spontaniczną odpowiedzią na apel kardiochirurgów z Centrum Zdrowia Dziecka o wsparcie finansowe zakupu sprzętu medycznego dla umierających dzieci.

Odzew był nadspodziewanie silny. A były to lata zaraz po upadku komunizmu, kiedy miliony ludzi z najwyższym trudem dostosowywały się do nowych warunków życia i naprawdę trudno było o solidarność. A jednak – okazało się – jest, jest! Tylko trzeba umieć ją z ludzi wydobyć.



@Ola

Dla mnie to święto. 😊 Lubię pomagać, jest fajnie.



@Jadu

Pomagaj bliźniemu swemu, myślę, że Owsiak super to realizuje, ja zbieram już kolejny rok. 😊😊



@Madzia

I nie narzekam, że marzną mi palce, uff, i fajnie, że ludziska też nie skąpią czasami. 😊



@Kinu

Ja też zbieram, od dwóch lat, razem z koleżanką, chodzimy po multipleksach, tam sporo jest chętnych. 😊😊

Wolontariuszy z roku na rok przybywało, można się doliczyć ok. 120 tys. chętnych do chodzenia z puszkami.

Zgodnie z jakimś odwiecznym prawem natury Owsiak, jak tylu innych dynamicznych działaczy w naszych dziejach, wzbudza ogromne kontrowersje, gromadzi zarówno rzesze zwolenników, jak i przeciwników.



Panmaruda
członek
★

12.07.2014 Panmaruda napisał(a):

Przecież z takim poparciem, jakie dostaje od telewizji Owsiak, to nawet mała by sobie poradziła. Celebryta i tyle, a ludzie dają się nabrać.



Tesla
użytkownik
★

12.07.2014 Tesla napisał(a):

Szpitala to powinny dostawać pieniądze od państwa, a nie od panów Owsiaków.



Mona
użytkownik
★

12.07.2014 Mona napisał(a):

Dzięki takim fundacjom i takiemu facetowi jak Owsiak tysiące dzieci żyje. Mam córkę, która urodziła się jako wcześniak, i dzięki sprzętowi, w który zaopatrzone są szpitale, ona żyje... a tak, co mielibyśmy w szpitalach... Ludzie, zastanówcie się, co piszecie. I dziękujemy za takich ludzi jak Owsiak.



Zygul
członek
★★

12.07.2014 Zygul napisał(a):

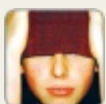
Jak zwykle Polak potrafi tylko krytykować!!!!!! Lepiej ruszcie się i zróbcie chociaż coś dla siebie, aby nie było trzeba wam pomagać!!!



Janka
członek
★★

12.07.2014 Janka napisał(a):

Ja go podziwiam i szanuję. Obserwuję człowieka od prawie 20 lat i mówię wam, mało takich wielkich serc w Polsce i na świecie.



Laki
członek
★★

12.07.2014 Laki napisał(a):

No nie wiem, rozkręcone to jest przez telewizję tak, że pewnie koszty są ogromne.

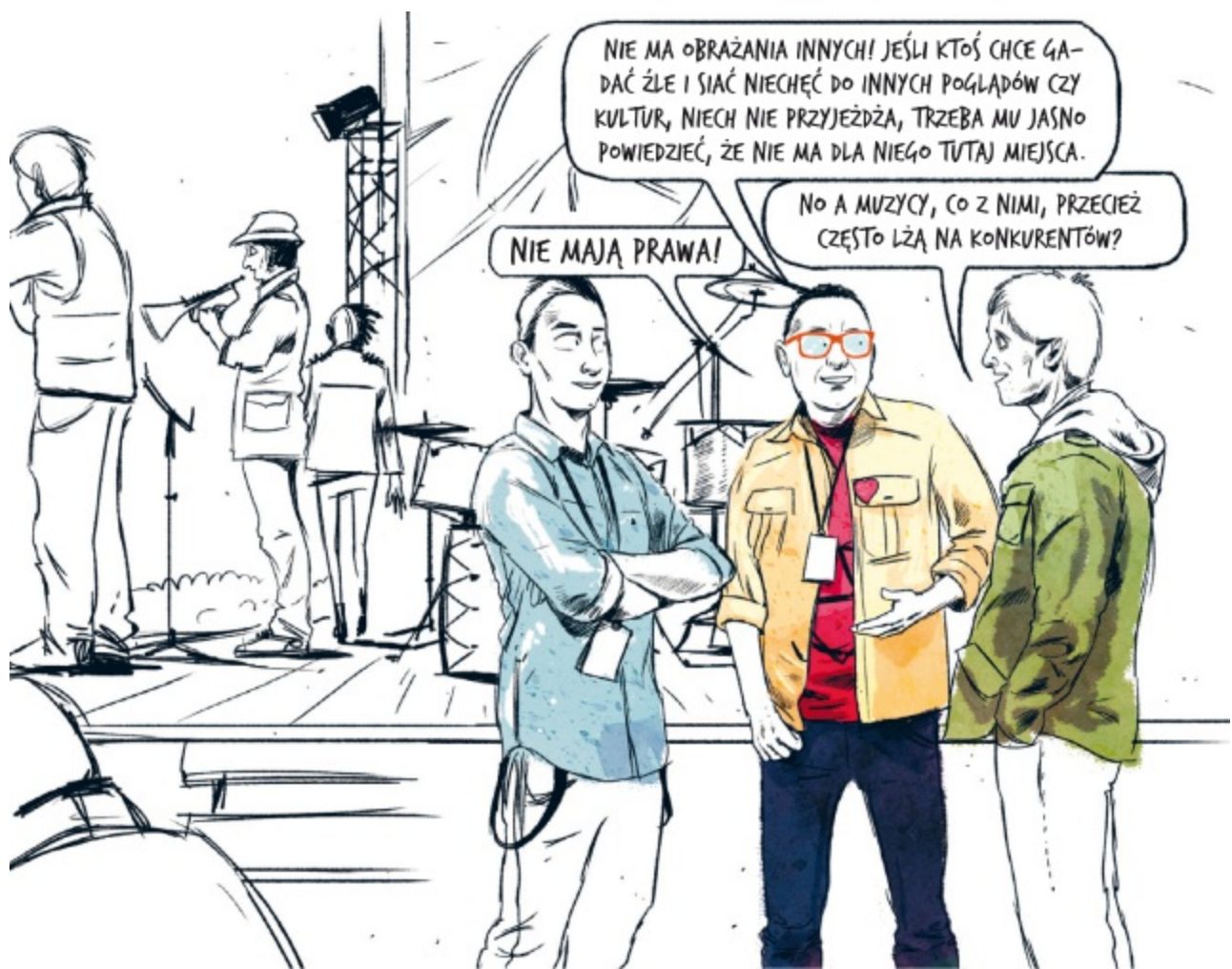


Tomek
użytkownik
★

12.07.2014 Tomek napisał(a):

Ale tylko on wpadł na taki pomysł i włączył masowo ludzi do dawania na szpitale, to znajdźcie swojego mistrza!

Owsiak jest również pomysłodawcą i organizatorem największego festiwalu open-air w Europie – Przystanku Woodstock. Organizowany jest od 1995 roku. I też budzi kontrowersje.



Może to eliminowanie kłótni światopoglądowych, granie różnorodnej, ale dobrej muzyki skutkuje rekordowymi liczbami chętnych do przebywania na Woodstocku. Kiedy w 2011 roku przyjechał zespół The Prodigy, na Przystanek Woodstock przybyło ok. 700 tys. osób.

ANNA DYMNA



„Nie można pomagać komuś po coś”



Jagusia

przed chwilą

Kiedyś oglądałam coś przed 20 w TVP2 z Dymną. Rozmawiała z chłopakiem chorym na hemofilię. Bardzo to było ciekawe. 😊 Czy ona ma jakieś programy w telewizji?

👍 Lubię to • Skomentuj • Udostępnij

👍 Wera, aniutek i 24 inne osoby lubią to



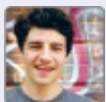
Wera Mam pytanie, czy Anna Dymna ma swój stały program, który się regularnie ukazuje w TV? Bo ja lubię oglądać tego typu programy. 😊 Podobało mi się, jak p. Dymna powiedziała, że „Pomaga się z potrzeby serca i tak naprawdę zawsze robi się to dla siebie! Jeden dojrzewa do tej myśli wcześniej, drugi później, trzeci pewnie zbyt późno”.!

👍 Lubię to • Odpowiedz 👍 2



aniutek Zupełnie przypadkowo trafiłam na taki program, czekałam na *M jak miłość*, tak to nawet bym nie wiedziała. 😊

👍 Lubię to • Odpowiedz



Radek Pani Ania jest przesympatyczną i ciepłą osobą, 😊😊 a jej fundacja to mistrzostwo świata, byłem na przedstawieniu robionym z niepełnosprawnymi, oni są świetni. 😊😊

👍 Lubię to • Odpowiedz 👍 2



Zyta A ja byłam z klasą na *Damach i huzarach*, grała Dyndalską fajnie. A z bratem oglądaliśmy *Nie ma mocnych*, taki stary film, bardzo śmieszny, też fajnie tam grała. 😊😊

👍 Lubię to • Odpowiedz

Anna Dymna jest znaną aktorką (związana od ponad 40 lat z Teatrem Starym w Krakowie). Tyle że w pewnym momencie swojego życia zdecydowała się przestawić je na inne tory. No to nie ma łatwo. Jak sama mówi: „Robię już 100 różnych rzeczy niezwiązanych z teatrem”.

MAMY NIEZWYKŁEGO GOŚCIA, PANIĄ ANNĘ DYMNA, A WIELU Z NAS JEST
WOŁONTARIUSZAMI DZIAŁAJĄCYMI NA RZECZ FUNDACJI „MIMO WSZYSTKO”.
JAK TO Z TYM AKTORSTWEM BYŁO? MARZENIE OD DZIECKA?



BĘDĄC NASTOLATKĄ, MARZYŁAM O ZAWODZIE PSYCHOLOGA. NIE ZAMIERZAŁAM ZOSTAĆ AKTORKĄ. JEDNAK TERAZ, KIEDY NIĄ JESTEM, WIEM, ŻE TO NAJPIĘKNIEJSZY ZAWÓD ŚWIATA, PONIEWAŻ ZAJMUJE SIĘ NAJGŁĘBSZYMI TAJEMNICAMI SERCA I DUSZY CZŁOWIEKA.

WIDZIAŁAM PANIĄ W „WIEDZMI-
NIE”, OGÓLNIENIE BYŁE FAJNY,
NIE PRZESZKADZA TO PANI?

GRAŁAM NENNEKE, POLUBIŁAM TĘ POSTAĆ I TO
JEST DLA MNIIE WAŻNE, CZASAMI TAK JEST, ŻE
NAM SIĘ ROLA PODOBA, A WIDZ, OGLĄDAJĄC CAŁY
FILM, NIE JEST ZADOWOŁONY, RYZYKO ZAWODOWE.

SKĄD TA PASJA DO SPOŁECZNEGO DZIAŁANIA?

W DOMU RODZINNYM WYCHOWYWANO MNIIE W TAKI SPOŚOB,
ŻEBYM ZAWSZE PAMIĘTAŁA, ŻE NIE JESTEM SAMOTNA
PLANETA NA TYM ŚWIECIE, ŻE CZŁOWIEK, BEZ WZGLĘDU
NA TO, CO ROBI, POWINIEN ŻYĆ DLA INNYCH!

A RADWANEK?

SPEKTAKLE TEATRZYKU „RADWANEK” TO OGROMNE
PRZEŻYCIE I PRZYJEMNOŚĆ. JAK WIECIE, ZESPÓŁ
RADWANKA TWORZĄ OSOBY NIEPEŁNOSPRAWNE INTE-
LEKTUALNIE ZE SCHRONISKA W RADWANOWICACH.

No, tak, to wszystko prawda! Scenariusze do przedstawień pisze, rzecz jasna, Anna Dymna, ona też je reżyseruje.



Właśnie praca przy teatralnych inscenizacjach Radwanka wywołała potrzebę założenia

własnej fundacji. Wskutek zmiany przepisów 26 mieszkańców radwanowickiego schroniska utraciło prawo do korzystania z terapii zajęciowej finansowanej przez budżet państwa. Pani Anna założyła w Krakowie Fundację „Mimo Wszystko”. Celem miało być utrzymywanie Warsztatów Terapii Artystycznej i możliwość brania w nich udziału dla 26 podopiecznych. Dzisiaj Fundacja pomaga chorym i niepełnosprawnym w całej Polsce. Między innymi Fundacja buduje dwa ośrodki rehabilitacyjno-terapeutyczne. Działalność Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko” jest honorowana wieloma nagrodami – otrzymała m.in. nagrodę Rzecznika Praw Dziecka – Pro Infantis Bono. Doceniona też została nagrodą Polskiej Organizacji Pracodawców Osób Niepełnosprawnych – Lodołamaczem 2007.

Niewątpliwie w działalności Fundacji pomaga Annie Dymnej to, że jest aktorką znaną i lubianą. Sama to zresztą przyznawała wielokrotnie: „Oczywiście wolałabym pracować z osobami niepełnosprawnymi bez rozgłosu. Tyle że na tę działalność trzeba zdobywać pieniądze i mnie przychodzi to łatwiej”.

Morał chyba jest prosty. Pracuj ciężko, wybij się, a następnie... Pracuj dla innych, którzy swojej szansy w życiu nie mieli. 😊

PREMIERA
STYCZEŃ 2016
PREMIERA



Historia Polski 2.0



POLACY – NIC SIĘ NIE STAŁO!

*...czyli o tym, jak chcieli nam
dokopać, ale im nie wyszło*

Nie możesz doczekać się kolejnej porcji Wróbla? Nic dziwnego. To naturalna reakcja organizmu wywołana kontaktem z rozrywką na najwyższym poziomie. Mamy dla Ciebie dobrą wiadomość. **Kolejny tom *Historii Polski 2.0* już w styczniu 2016 roku!**



BĘDZIESZ PŁAKAĆ ZE ŚMIECHU. BĘDZIESZ PĘKAĆ Z DUMY. BO MY POLACY WIEMY, JAK PRZEGRĄĆ, ŻEBY WYS ZŁO NA NASZE!

Dlaczego Polacy przegrywają? BO CHCĄ!

Tu nam dali łupnia. Tam nas oszukali... Nie mieliśmy łatwo. Fakt. Czy to na wojnie, czy na boisku – zwykle to my przegrywamy... A potem? Możemy do woli uprawiać nasz narodowy sport – narzekanie i uzalanie się nad sobą. Pora jednak spojrzeć prawdzie w oczy! To my potrafimy tak przegrać, żeby nikt się nie zorientował, że właściwie jesteśmy górą.

Z tej książki dowiesz się, dlaczego w zasadzie jesteśmy niezniszczalni. I czemu opłacało nam się parę razy nie wygrać. Jeśli nie wiesz, czemu jesteśmy tak świetni, choć co chwila ktoś nam podstawia nogę, to widocznie jeszcze nie zajrzałeś do środka!

Oto niezwykle zestaw polskich klęsk, które o mały włos mogliśmy przemienić w zwycięstwo! Bo jak przegrywać, to z ułańską fantazją. 😊 A jak czytać, to z wypiekami na twarzy, niecierpliwie czekając na kolejne tomy *Historii Polski 2.0*!

A potem co? Znow to samo... Będziesz chcieć więcej i więcej!

Projekt okładki
Michał Pawłowski / kreska i kropka

Ilustracja na okładce
Joanna Wójcik

Źródła zdjęć w książce
Domena publiczna

Rekonstrukcja twarzy Mikołaja Kopernika
podinsp. Dariusz Zajdel, Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Policji

Piktogramy użyte w książce
Daniel Bruce — www.entypo.com

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Weryfikacja merytoryczna
Ewelina Olaszek

Korekta
Aleksandra Ptasznik
Irena Gubernat

Copyright © by Ewa Wróbel, Jan Wróbel
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-240-3068-2

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

